

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 23; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

Mówić a mówić...



„Opatrzność tworząc narody, hojnie obsypała darami swemi naszych praojców. Dała im ziemie obszerne i żyzne, dała lwie i gołębie serca, dała szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów.

„Ale nie był to jeszcze koniec darów.

„Możnaby mniemać, że Bóg tworząc Polaków, rzekł im: Oto nadmiar wszystkiego — daję wam spiż dźwięczny a niepożyty, taki, z jakiego ludy żyjące przed wami stawały posagi swym bohaterom, daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczyńcie mowę waszą.

„I powstała mowa ta niepożyta, jak spiż, świetna i drogocenna, jak złoto, jedna z najwspanialszych na świecie.“

Tak mówił wielki mistrz słowa, Sienkiewicz, na uroczystości odsłonięcia pomnika dla Juliusza Słowackiego w Miłosławiu i tak czujemy my wszyscy, których mowa ta jest o czystą własnością od kolebki aż do grobu, a zawsze „czystą, jak Iza, Bożą, — jak modlitwa, słodką, — jak miłość.“

Posiada bowiem w sobie wszystkie skarby i przymioty, jakie liczni nasi mistrze słowa podnieśli do zenitu, tworząc zbiór arcydzieł, karmiących duszę naszą niewyczerpanym zasilkami piękna i mądrości.

Któż też nie kocha mowy swej rodzinnej! Kto nie tęskni za nią, znajdując się po za granicami swej ojczyzny, wśród obcych ludzi, kto nie wita jej z radością, będąc długo pozbawionym jej umiłowanych dźwięków, które, jak najpiękniejsza muzyka, grają w uszach i w duszy naszej, zawierając w sobie to wszystko, co nam jest drogie i miłe, co nas boli lub wzrusza, słowem: wszystko, co myśl

nasza objąć i wysnuć potrafi, a serce odczuć gorąco!

Mówimy też wszyscy dużo, bo mówić potrzebujemy, by wyrazić drugim swoje myśli i pragnienia, lecz rzadko kto mówi dobrze, co zależy nie tylko od wrodzonych w tym kierunku zdolności, ale i od wyrobienia umiejętnej, jasnej formy dla myśli swoich, nade wszystko zaś od czystości i poprawności mowy naszej.

Strzedz czystości i poprawności swej ojczystej mowy, starać się zamieniać ją w „drogocenne złoto“ i „spiż niepożyty“ jest obowiązkiem każdego z nas, a pierwszeństwo w tem mają kobiety, matki polskie, które pierwszym słowem przemawiają do dzieci swoich i nucą pierwszą nad ich kołyską piosenkę. Kobiet matek zadaniem świętem jest wpajać w dzieci miłość i cześć dla rodzinnej mowy, tem bardziej, że dzięki Bogu minęła już u nas śmieszna moda cudzoziemczyzny, wylamywania od pieluch już języczków dziatwy naszej dźwiękiem obcej mowy, w której kazano im się modlić codziennie i myśleć i pogardzać mową swoją.

Dziś dzieci nasze uczą się obcych języków, nie po to, by popisywać się niemi w salonach, podrózach i t. p., lecz by z ich pomocą zarabiać na chleb, w handlu z zagranicą, korespondencji, i przyswojeniu sobie literatury obcej. Dziś młode dziewczę polskie nie sili się na wykonywanie włoskich arii, lub francuzkich romansów, lecz nuci w ojczystym języku rzewną, albo wesołą piosenkę, bardziej przemawiającą do duszy, niż najwybredniejsze cudzoziemskie utwory.

Sztuka podobać się przez mowę jest odwieczna, a nie bardziej nie nadaje jej wdzięku, jak szczerłość, dobroć i prostota.

„Gdy duszę człowieka napełniają uczucia szlachetne, wówczas rozmowa jego staje się zajmującą i pociągającą słuchaczy,“ — twierdzi

Karol Libelt, — bo człowiek złych instynktów choćby użył całej swej wymowy i przebiegłości, nie uczyni słowami swemi na słuchających takiego wrażenia, jak kilka wyrazów, płynących z serca i głębokiego przekonania dobrego człowieka, kochającego ludzkość i rodzime ideały.

Jednym z ważniejszych przymiotów towarzyskich jest niewątpliwie zdolność prowadzenia intelligentnej i zajmującej rozmowy, a zdolność ta może być uważaną z czasem za skarb prawdziwy, gdyż mało kto ją posiada i obecnie najczęściej opuszczamy towarzystwo pod wrażeniem nudy i znużenia, które są wynikiem bezcelowego trwonienia czasu, oraz tego, iż coraz mniej staramy się wyrażać to, co czujemy i myślimy, poprzestając tylko na częstych słów wymianie.

Duszą rozmowy jest sympatya, ludzie więc nie powinni mówić, aby sobie zrobić przyjemność, lecz tym, którzy ich słuchają, t. j. aby przygotować się do ich pojęć, upodobań i tonu towarzystwa, w jakim się znajdujemy, albo wreszcie w rozmowie z innymi intelligentnymi osobnikami powiększyć bogactwo swych myśli i dać im nową podniętę, stanowiącą zysk towarzyskiego życia.

Im bowiem człowiek intelligentniejszy, im więcej wykształcony, tem więcej mówi o tem, co wie i umie a mowa jego przybiera wykwintniejszą formę. Tymczasem my w rozmowach naszych zamiast pamiętać o powyższych względach, zamiast rozwijać piękne myśli, zastanawiać się nad życiowymi prawdami i rozbiierać kwestye, obchodzące ogół, najczęściej lubimy czynić spostrzeżenia nad swoimi znajomymi, krytykować ich postępowanie, wady i t. p. niezbyt łaskawie, z czego powstają owe plotki, nieporozumienia i przykrości codziennego życia, biorące zwykle początek w nieostrożnej mowie naszej, ponieważ mówimy za wiele, bez zastanowienia,

o tem, co do nas nie należy i co nam nie przystoi.

Upodobanie w wielomówstwie jest oznaką płochego serca i umysłu, a osoby, podlegające tej wadzie, nie mają nic innego na celu prócz obracania językiem, co im sprawia wprost fizyczną przyjemność. Odmówić sobie tej przyjemności nie mogą i gdy znajdują cierpliwych słuchaczy, mówią bez ustanku, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, mówią o sobie, dzieciach swych i mężach, o służących i sąsiadach, o znajomych i niezajomych, nie zważając, czy to zajmuje kogo lub nie, a słowa ich bieżą nieprzerwanym potokiem, jak woda na młyńskie puszczone koło! Od wieków też zarzucano kobietom zbyt wielomówność, gdyż nawet Pismo Św. przestrzega: „Niewiasta niech się ćwiczy w milczeniu.“ (Paweł Św. II, 9.) O ile jednak paplanina kobiet jest męczącą, o tyle gderliwość ich jest nieznosną, zatruwającą życie ich otoczeniu i czyniącą z domu ich istne piekło!

Biedny mąż, nieszczęśliwe dzieci, utrapiona służba takiej kobiety, która jak nakręcona pozytywka od świtu do nocy powtarza wciąż jedno i to samo, łając z niezadowoleniem wszystkich i wszystko dokoła, wciąż kwaśna, zgorzkniała, wymagająca, ludziom i sobie niemiła. Wprawdzie z samej natury przymiotów, wiele wzorowych żon i matek stają się gderliwymi, ponieważ kobieta staranna i obowiązkowa, rozumiejąca ważność dokładności w drobnych rzeczach, jak i w całym życiu, dostrzegając wiele opuszczeń ze strony męża, dzieci i służących, pragnie doprowadzić ich do porządku i mimowoli wpada w ton gadatliwości, która wzrasta z dnia na dzień i albo drażni otoczenie, albo tak mu spowszednieje, że najlepsze w gruncie rzeczy przestrogi osoby gderającej, nie czynią żadnego wrażenia, wywołując najczęściej lekceważący uśmiech po za jej plecami.

Powinnyśmy zatem strzedz się niezmiernie wady wielomówstwa i gderliwości, jak również ciętości języka, która bierze źródło swe w dowcipie tak cenionym i przyjemnym w rozmowach towarzyskich, o ile nie przekracza on granic swej lekkości i wykwinności.

Ktoś powiedział, że dowcip jest bratem sarkazmu i słusznie, łatwo bowiem dowcipne uwagi zamieniają się w sarkastyczne, ostre przycinki, tak raniące miłość własną bliźnich naszych.

Ciętość języka szczególnie naganną jest i nieuzasadnioną u młodych panien, znajdujących przyjemność w szermierce słów błyskotliwych, nacechowanych ostrym, ucinkowym dowcipem. Biada im, jeśli młodzi ludzie doznają raz i drugi skutków tej ciętości panieńskiego języka! wszystkie bowiem najcenniejsze przymioty ich duszy, zaćmi ta wada w oczach młodzieży, unikającej, jak pokrzywy, ciętych panien, a które z czasem zamieniają się w owe kwaśne i zgorzkniałe istoty, czyniące postrach ogólny dokuczliwością swej mowy:

„Polki-dziewice w kołach błyszczących

„Pomnyż wam czar tej prostoty,

„Gdy dla sere waszych piosenka tchnących

„Jej tylko promień był złoty.“

Matka-Polka M. R.-S.

Maryja Rodziewiczówna.

Joan. VIII, 1—12.

POWIEŚĆ.



(Dokończenie).

Drab musiał dosłyszeć, rozbudzić się, bo się dźwignął i wśród pijackiej czkawki wybelkotał:

— Psia krew, doczekam się, czy nie — to mniejsza. Znajdę, odszukam, ściągnę rachunek za ten miesiąc, nie schowa się ona ode mnie.

Brzechwa stał, nie wiedząc, co czynić. Wreszcie zwrócił się do draba:

— Ona mi bardzo potrzebna. Służyła mi za modelkę. Malarz jestem, oto mój adres i trzy ruble, dam jeszcze dziesięć, gdy mi ją kto sprowadzi lub wskaże gdzie jest. Czy to jej prawdziwe imię i nazwisko — tak zapisana w policyi?

— Pewnie, że tak zapisana! — ziewnął drab, biorąc łapczywie pieniądze. — No, kiedy ona jeszcze może dać dziesięć fajgli, to warto poszukać zaraz. No, do rana to ja ją złapię i przyprowadzę.

— Ma ci to maljarz pomiderowy gust! — rzuciła pogardliwie ruda Julka. — Dziesięć fajgli za te gnaty!

— Stul gębę, psia jucho! — krzyknął drab. Kobieta odpowiedziała mu gradem wymysłów. To nareszcie zwróciło uwagę graczy, obejrżeli się.

Brzechwa spiesznie wyszedł, słyszał na podwórzu, że w izbie powstał krzyk i razy, i aż się dziwił, że wydostał się z tej jaskini żywy.

Cały następny dzień przesiedział w pracowni, wyglądając draba napróżno, zdenerwowany, zniecierpliwiony, klnąc w duchu cały świat, kobiety i siebie.

Wieczorem ktoś do drzwi zaskrobał, dłoń szukająca klamki, macająca jakby na oślep.

Otworzył — stała przed nim ulicznica.

— Ano, jesteś przecie! — zawołał. — Wzięłaś ztąd broszkę? Coś z nią zrobiła?

Oczy miała otwarte, ale bez wzroku, osłupiała, usta trochę otwarte, ale nie rzekła słowa.

Wyciągnęła z pod chusty rękę zgrubiałą brudną, umazaną ziemią czy błotem — na dłoni błyszczała broszka.

Porwał ją z odetchnieniem ulgi i dopiero na nią, na jej wygląd i twarz zwrócił uwagę.

— Pochowałaś dziecko?

Skinęła głową i zawróciła się, by odejść.

Zatrzymał ją za ramię.

— Dokąd idziesz? — zawołał przerażony.

— Do małego! — odparła.

— Zostań! Opamiętaj się. Gdzieś ty była te dwa dni? Szukałem ciebie u rudej Julki. Nie wracaj tam, tyś chora.

Popatrzała nań, jakby budziła się ze snu, jakby starała się zrozumieć.

— Nie ukradłam broszki — rzekła powoli, sennie. — Nic nie mam, nic nie mam, odniosłam, pójdę do małego, och będę spać, spać — całą noc. Nie pójdę już na ulicę — nie po-

trzeba. Mam dwie fuksy i kanarka w klatce, ojciec przyjdzie o jedenastej. Mały też spi — zdrów!

— Poczekał, przeprowadzę cię! — rzekł, tknięty przecuciem, że albo mówi z gorączki, albo jest obłąkana.

Zawrócił do mieszkania, chwycił tylko palto i kapelusz — już jej na schodach nie było, zeszedł szybko na dół do bramy, stróż jej nie widział, musiała pójść drugą stroną.

Ale gdy minął podwórze i dostał się do drugiej bramy, i tam nikt jej nie zauważył. Jak szary cień przemknęła i utonęła w tłumie ulicy. Brzechwa stanął bezradny na chodniku, patrząc tu i tam.

— Przepadła! — szepnął.

Spojrzał na zegarek — była siódma, wrócił spiesznie do pracowni, przebrał się i poszedł do Salnickich.

Radca był na posiedzeniu, Manusia wybieła się do ciotek, ale w ostatniej chwili dostała migreny i wyprawiała w swem zastępstwie matkę.

W eleganckim negliżu przyjęła go pomimo bólu głowy i wprowadziła do buduaru, słabo oświetlonego.

Nie była już sztywna, z lekka tylko nadąsana, pragnąca przeprosin i pojednania. Nie spytała o broszkę, a gdy ją podał, rzekła z zalotnym grymasem:

— Ach, ile ja przeszłam zgryzoty i strachu z pana powodu!... powinnam nienawidzieć!

— Strachu? Co pani mogło grozić?

— Jakto co? A gdyby się broszka nie odnalazła?

— Och — byłaby po paru dniach akuratna jej kopia.

— Dobrze panu mówić. To przecie pamiątka.

— Po matce męża pani. Mój Boże, pani aż tak szanuje takie pamiątki!

Roześmiał się, uraziło ją to, poczuła w jego głosie lekceważenie i szyderstwo.

— Pan w ogóle nie ma pojęcia o jakimkolwiek poszanowaniu!

— Niestety! nikt mnie tego nie nauczył.

— Wierzę — sądząc po pana niewybrednych gustach.

— Mianowicie? — spytał, patrząc na nią bystro.

— No, kiedy uprawia pan stosunki ze złodziejkami!...

Wstał, czując, że kipi, że jeszcze chwila, a powie słowo obelgi tej kobiecie „z porządnego towarzystwa.“

— O pani — kto z nas nie jest złodziejem? Wszystko zależy od punktu widzenia. Szczęściem, złodziejka odniosła pani klejnot rodzinny, u mnie zapomniany. Nie grozi pani nic. Pozwoli się pani pożegnać. Jutro wyjeżdżam.

Manusia zachwiała się, krew jej uderzyła do głowy.

— Jakto? Pan odjeżdża? To niemożliwe! O Boże! A — a — a cóż będzie ze mną? z nami?

— Zapomnimy, jak każdej zabawy. Nas przecie stać na taką zabawę — z nudów! Żegnaj panią.

— Potwór, oprawca! O Boże, com ja uczyniła, nieszczęsna!

Padła na otomanę, kryjąc głowę w poduszki.

On nawet nie spojrział na nią i wyszedł.
— Rok nie spojrzę na żadną! — zamruczał, schodząc na dół.

Następnego dnia składał pożegnalne wizyty. Wieczorem zaprosił kolegów na kolację, i tam któryś najpóźniej przybyły, rzekł:

— Czytaliście wieczorne gazety?

— Nie — co tam ciekawego?

— Ano — epilog sprawy Morzyńskiego.

— Co to, Morzyński?

— Nie pamiętacie? przed paru laty zabił go jakiś posłaniec kamieniem.

— Aha — jego narzeczona poszła za tego starego piernika Salnickiego.

— No ten. Otóż wtedy daremnie szukano jakiejś jego kochanki, córki owego posłańca. Aj, głośna była sprawa. Stuch go bronił.

— Więc co?

— Dziś rano na grobie Morzyńskiego na Powązkach znaleziono trupa kobiety. Jakiś drab znalazł i zawiadomił stróżów. Gdy ją podjęto, znaleziono poruszoną ziemię, zaczęto szukać i wydobyto płytko zagrzebane zwłoki dziecka.

— To pewnie moja! — zawołał Brzechwa.

— Co, twoja?

— Modelka. Wczoraj jeszcze u mnie była, wydawała się obłąkaną po śmierci dziecka. Jaki? więc ona była kochanką narzeczonego tej pięknej Salnickiej?

— Prawdopodobnie.

— To okropne! Cóż — otruła się, czy zabiła?

— Podobno zmarła z wycieńczenia. Cały romans.

— Romans! Dramat raczej! Brz! — jakie to wszystko ohydne. Jaka to była dziwna istota!

— Ech, może to wcale inna. Zresztą możemy się dowiedzieć. Ot tam, przy tym stoliku pod oknem siedzi Stuch. Znam go, to się spytam, chcesz?

— Chodźmy razem — przedstaw mnie!

Poszli. Adwokat badawczo spojrział na Brzechwę, a na zapytanie odparł:

— Nie wiem, czy tą umęczona była pańską modelką, ale z pewnością była Mańką Gedrasówną. Widziałem ją w prosektoryum.

— Czarna, chuda, średniego wzrostu, okryta chustą w wielkie kraty?... Tak ubrana wyszła wczoraj ode mnie. Gonilem za nią nawet, czując, że jest obłąkaną, ale zginęła w tłumie.

— Och, ona oddawna jest zgubioną, ma teraz spokój. Nie trzeba jej żałować, ale raczej tych, jej podobnych, które jeszcze żyją, dla tak zwanej rozrywki i przyjemności ludzkiej.

— I leży dotąd w prosektoryum?

— Nie. Zapłaciłem za jej pogrzeb.

Tu spojrział znowu badawczo na Brzechwę i dodał:

— Mieszkam w tym samym domu, gdzie pan miał pracownię, o piętro niżej tylko. Spotykałem pana parę razy na schodach.

— To dziwne, że w takim razie i tej dziewczyny pan nie spotkał. Przychodziła prawie codziennie o dwunastej.

— O tej porze nie jestem nigdy w domu. Widywałem inną pana... modelkę! — rzekł.

Brzechwa nic nie odpowiedział. Zrozumiał, że Stuch wiedział wiele.

Tu się odezwał kolega malarz.

— Jednakże pani Salnickiej nie będzie mi-

ło przeczytać o tym wypadku. Podobno przechorowała ten skandal z narzeczonym.

— Pani Salnicka jest po nad skandalami. Wtedy może istotnie — jako pannie, groziła kompromitacja, ale teraz jest w niezdobytej twierdzy, pod strażą męża, towarzystwa, praw, przywilejów, fortuny. Ręczę wreszcie, że mało kto, a ona może najmniej pamięta sprawę Morzyńskiego. To są takie sezonowe epizody.

— Pan zna panią Salnicką? — spytał go Brzechwa.

— Rosła i wychowywała się na moich oczach. Byłem korepetytorem jej braci.

— No, ci panu sławy nie przysporzą! — zaśmiał się malarz.

— Ani ja im dogadzałem, bo mnie ztamtąd wyrzucono sromotnie! — odparł Stuch z uśmiechem. — Urazałem zanadto ich pojęcia przyzwoitości i moralności. To jest rodzina szanująca stare zwyczaje, tradycje, bogobojna, konserwatywna i porządna, a ja kapcan i warchoł. Zgubiłem się do reszty obroną Gedrasa, i nie znają mnie już teraz.

— Ręczę, że posadzą pana o umyślnie wygrzebanie tej historii z trupem na grobie Morzyńskiego.

Stuch się zamyslił, gorzki uśmiech miał na ustach.

— Wątpię; teraz oni są zanadto spokojni, pewni, bezpieczni, syci, żeby chcieć myśleć, przypominać, gniewać się, wyciągać jakieś wnioski. Zresztą, to temat nieprzyzwoity, obrzydliwy i w dobrem towarzystwie unikany, zenujący.

W każdym razie epizod z Gedrasami wy-czerpany, ma on, na co zasłużył, ma i ona słuszną karę za grzech i bezwstyd. Jest na świecie nagroda za cnotę w uznaniu i szacunku ludzkim, jest pogarda i ohyda dla jawnego występku i obrzydzenia nawet dla takiego trupa. Tak jest!

5-go Sierpnia 1905-go roku.

K O N I E C.



Głosy orłowe.



W głębokim źlebie pieni się woda,
Mienia się w słońcu promienne szczyty,
Srebrem się śmieje rusalka młoda
I pieści miękkie mechów aksamity.

Rozgarnia fali wełniste grzywy,
Głębie rozświetla iskrą spojrzenia;
Wtem twarz jej krzywi uśmiech złośliwy:—
Tam idzie człowiek — wróg przyrodzenia.

Wszak on tak młody, on jeszcze dziecko,
Ogniem zapalu płoną mu lice,
Lecz w jasnej duszy chowa zdradziecką
Myśl, wyrwać święte gór tajemnice.

„Do fal się skłonię płomienną twarzą,
Potok mi cudną bajkę opowie,
Jako na wirkach w zadumie gwarzą
Królowie turni, smętni orłowie.

A gdy wysłucham cudownej mowy,
Z duchem, jak z dzwonem, wrócę do świata,
I mocą pieśni zaklnę tęczy
Świat, gdzie się człowiek z orłami brata.“

Tak marząc, w sercu tłumiąc nadzieję,
Nad falą zwisa piersią wezbraną,
W głębi rusalka wabnie się śmieje
I śnieżną w oczy ciska mu pianą.

Ale duch górski, co zimną wzgardą
Mierzy świat ludzi, zmarszczył się chmurnie,
Znać, że w swej skroni tuli myśl twardą;
— Tupnął, aż echem odjękły turnie;

I z sennych mgławic otchłani bladej,
Wnet się wynurza orszak widmowy,
Na pański rozkaz, w królewskie ślady
Suną potworne ręce i głowy.

Gdzie rosła kręta kosodrzewina
Wstaje chochlików czereda pusta,
Za szarą żmiją wiedźma się zgina,
Błyska upiorów skrawiona chusta.

Potworny orszak w szalonym biegu
Pędzi, by srogo ukarać śmiałka,
A z przeciwnego patrzy się brzegu
Zielonooka, smukła rusalka.

Piekielny okrzyk potrząsa ziemię,
Echem rozbrzmiewa w wąwozu bramie.
...Więc tak nam śpiewa orłowe plemię?
Tak myśli dziecię. Czyż potok kłamie?

Już coraz bliżej tętni huf dziki,
Kamień po skałe huczy złowrogo,
Śmieją się wiedźmy, skaczą chochliki.
.....
Na stromym brzegu niema nikogo...

A w źlebie ciągle pieni się woda,
Duch gór samotny wraca na szczyty,
Srebrem się śmieje rusalka młoda
I pieści miękkie mechów aksamity.

Miles.



Ś. p.

SEWERYNA DUCHIŃSKA.



Najsędziwsza z autorek polskich zakończyła życie w Paryżu w dniu 22-ym Sierpnia i tamże w dniu 27-ym t. m. pochowaną została.

Nie jeden z młodszego pokolenia nie będzie mógł, po przeczytaniu tej wieści żałobnej, wywołać w swej pamięci wyraźniejszego wspomnienia, aczkolwiek niedawno, bo dopiero w latach 1894-ym i 1897-ym ukazało się zupełne wydanie oryginalnych poezji Duchinińskiej. Wielu zapomniało, jaką rozkosz sprawiało im w dzieciństwie czytanie „Rozrywek“, a jakie w latach dojrzałych zadowolenie estetyczne przynosiła w „Bibliotece Warszawskiej“ sumiennie przez cały szereg lat przez nią prowadzona „Kronika paryzka i zagraniczna.“ Pod tym względem porównać można Duchinińską z Kraszewskim, który w pisanych niegdys do „Kłosów“ korespondencyach z Nie-

miec, dawał zupełny obraz życia umysłowego tego kraju.

Piszący te słowa ilekroć razy szukał literackich informacji, dotyczących się niemieckich lub francuzkich autorów, z przed lat kilkudziesięciu, zawsze miał je do zawdzięczenia Kraszewskiemu i Duchieńskiej.

U nas zupełnie o niej zapomniano. Wraz z Lenartowiczem, Zaleskim i wielu innymi spotkał ją bolesny los tych, którzy „za długo żyją.“ I nie jeden na wieść o jej śmierci, ze zdziwieniem siebie zapyta: Jakto, więc Duchieńska *dopiero teraz* umarła? To też młodzież nasza, przybywająca do Paryża, rzadko kiedy zdobywała się na to, by złożyć hołd najszlachetniejszej z polskich autorek. I nie dziw, że zakończyła życie w zupełnym osamotnieniu; z licznej rodziny w kraju zamieszkałej, która od czasu do czasu odwiedzała nieboszczkę, nie mógł zdążyć do Paryża nikt, coby jej zamknął powieki na sen wieczny. Wprawdzie wśród starszego pokolenia paryżkiej kolonii polskiej miała Duchieńska nie jedną wierną sobie duszę, ale śmierć ostatnimi czasy dotkliwie poczyniła szczyby w rówieśnym jej towarzystwie, resztę zaś kanikuła zmusiła do wyjazdu z Paryża, tak, że w ostatniej godzinie nie było przy niej nikogo, zwłaszcza, że nie nie zapowiadało blizkiej katastrofy. Zasnęła cicho, spokojnie, nie nękana żadnymi cierpieniami.

Oto co pisze z Paryża p. Władysław Strzembosz o ostatnich chwilach Duchieńskiej:

„O zwykłej porze staruszkę położono spać, gdyż pozbawiona od lat kilku władzy w nogach, bez obcej pomocy ruszać się nie mogła. Nic za dnia, w zdrowiu spędzonego i do dni poprzednich podobnego, katastrofy tak blizkiej nie zapowiadało. Raptem około północy zbudziła się w tymże pokoju służąca i wierną od lat dwudziestu przeszła towarzyszkę swoją Walentynę, skarżąc się na ból w plecach i lewym ramieniu. Pomimo rozcierania i środków domowych, ból nie chciał ustąpić, zbiegła więc zaniepokojona służąca na dół, aby posłać odźwiernego po doktora i mieszkającą w pobliżu długoletnią przyjaciółkę zmarłej, pannę D. Gdy w kilka minut do mieszkania powróciła, już swojej pani przy życiu nie zastała. Nie było nikogo z blizkich, ktoby w ostatnich chwilach staruszce towarzystwa dotrzymał, coby głowę, po wydaniu technienia ostatniego ocieżała, na poduszkach ułożył, coby powieki jej zamknął.“

Zeszła do grobu, gdzie ją poprzedzili ci, którzy byli świadkami powodzenia jej pracy literackiej i patrzali na wszystko własnym; jej oczyma. Młodszej generacji trudno zarzucać, że nie umie pamiętać. Duchieńska tak dawno przyszła na świat, a przytem całą swą twórczość oryginalną, oraz działalność społeczną rozwinęła i zakończyła przed wybieciem przełomowej godziny w naszych dziejach i przed czterdziestu laty nie jej nie łączyło z hasłami pozytywizmu i głos współczesności nie mógł już przemówić do niej.

Najlepszym chyba dowodem tego, jak mało zajmowano się u nas Duchieńską w ostatnich czasach, jest fakt zupełnej niepewności co do roku, w którym przyszła na świat; ona sama z niechęcią mówiła o tem. Encyklopedye, oraz podręczniki literatury po-

dają, że urodziła się w r. 1825-ym, 1828-ym, a nawet i później. Bohdan Zaleski twierdził, że była jego rówieśniczką. Zmarła przed niedawnym czasem ś. p. Alexandra z Wołowskich Faucherowa nieraz mawiała, że zanim opuściła kraj, co miało miejsce w końcu 1831-go roku, znała Duchieńską już jako zamężną.

Były to wprawdzie czasy, kiedy kobiety o wiele wcześniej, niż obecnie zawierały związki małżeńskie, ale opowiadaniu pani Faucherowej zaprzeczają osobiste wspomnienia nieboszczki, drukowane w „Kalendarzyku paryżkim“ na rok 1901-szy. Wspomina w nich o czasach z przed roku 1830-go i nadmienia, iż, kiedy nastąpił wybuch powstania listopadowego, znajdowała się w Warszawie na pensji pani Wilczyńskiej, umieszczona tam, jako dorastająca panienka, dla uzupełnienia wychowania.

Że jednak w tym właśnie czasie, albo wkrótce po nim, musiała wyjść za mąż, wi-



Seweryna Duchieńska.

dzimy ztąd, iż mieszkająca w Warszawie córka zmarłej Nestorki naszych autorek, posłubiona panu Garczyńskiemu, liczy obecnie 69 lat. To też najzupełniej zasługują na wiarę zapewnienia państwa Garczyńskich, że wszystkie encyklopedye nasze, które jako datę urodzenia Duchieńskiej podają rok 1825—1828, z czego wynikałoby, że zmarła liczyła lat 80—77, popełniają błąd, ponieważ nieboszczka dożyła wieku o wiele późniejszego, a mianowicie lat 90. Przyznać należy, że najbliższym prawdy jest „Rocznik“ Okręta, który podaje rok 1816-ty, choć po za tem pełen jest niedokładności i opuszczeń. Stusnie też p. Władysław Strzembosz uważa „epokę kongresu wiedeńskiego za najprawdopodobniejszą datę urodzin.“ W każdym razie należałoby zająć się wyszukaniem metryki przy porządkowaniu papierów po zmarłej pozostałych, dla przywrócenia właściwej daty urodzin w naszych encyklopedyach i opracowaniach historii literatury.

Duchieńska, z domu panna Żochowska, przyszła na świat na Mazowszu, we wsi Koszaj-

cu, pod Sochaczewem. Nauki początkowe pobierała w domu rodzicielskim, a następnie na wspomnianej pensji warszawskiej u p. Wilczyńskiej, gdzie przebywała do wybuchu rewolucji. W szesnastym roku życia wyszła za mąż za obywatela ziemskiego, Tomasza Prusaka. Owdowiawszy, została w r. 1864-m żoną Franciszka Duchieńskiego, słynnego niegdyś historyka i etnografa, zmarłego przed dwunastu laty — i odtąd wraz z mężem zamieszkała w Paryżu. Kształcąc się pod literackim kierunkiem K. Wł. Wójcickiego, po raz pierwszy wystąpiła w piśmiennictwie w r. 1848-ym z drobnymi opowiadaniem prozą w wydawanym przez siebie „Albumie literackim“, oraz w „Bibliotece Warszawskiej.“ Wkrótce potem rozwinęła swą literacką działalność, ogłaszając: „Powieści naszych czasów“ (1853, tomów 4), oraz „Gawędy i powieści“ (1854, tomów 2). Prace te nikłe i w formie, i w treści, nie cieszyły się wielkiem powodzeniem i przeszły bez wrażenia. Rok 1848-my, kiedy jako Prusakowa wystąpiła na arenę literacką, był rokiem burzy, przechodzącej właśnie nad Europą — ale nadzieje, które wtedy doszły do szczytu, znalazły zagładę w stojącej już u progu reakcji.

Burzliwa ta atmosfera nie znalazła żadnego echa w dziełach młodej autorki, — nie zalecały ich ani pomysły niepospolite, ani zręczne przeprowadzenie akcji, ani też plastyka charakterów, podzwaniał jeno rzewny ton szczerego umiłowania ludzi, oraz idealne dążenia. Owa rzewność, połączona z miękkością, oraz owa serdeczna sympatya do ludzi stanowią indywidualny rys Duchieńskiej. Większem powodzeniem zostały uwieńczone rytmotwórcze próby Duchieńskiej. W roku 1855-ym ukazują się w czterech tomikach „Powieści poetyczne“ („Dwa dwory“, „Zgoda wiejska“, „Powieśle“ i „Córka wdowy“). W poematach tych, pisanych formą gawędy, Prusakowa wzoruje się często na Polu i Syrokomli, którzy byli mistrzami tego umiłowanego naówczas rodzaju poetyckiego, — przypomina też gdzieś Pługa. Charaktery kobiet kreślone są intuicyjnie z wielkiem umiłowaniem. Niebawem po wydaniu „Powieści poetycznych“ powstaje poemat p. t.: „Elżbieta Drużbacka“, który jednak nie jest oparty na dziejach żywota poetki, a raczej stanowi kronikę dziejów narodowych w Saskiej epoce. Poemat ten, pozbawiony głębokiego uczucia oraz polotu poetyckiego, uważać należy za plód poroniony. To samo, mniej więcej, powiedzieć trzeba o drugim poemacie p. t.: „Sebastyan Klonowicz“, ogłoszonym w „Bibliotece Warszawskiej.“

Ideowy nastrój pism Prusakowej stanowi doskonałe odbicie usposobienia, w jakim się znajdowały naówczas wykształcone warstwy naszego społeczeństwa. Największe niebezpieczeństwo widziała Prusakowa w pysze rozumu, jedyną zaś ucieczkę — w wierze; to też utwory jej mają podkład religijny. Ale wiara ta niekiedy polemicznie wiersz nastrajająca, nieraz przejawiała się naiwnie, jak np. wtedy, gdy po ukazaniu się stolików wirujących woła ze szczerem oburzeniem: „Kto już cudom wiary dać nie może, o! ten zmarnieje, jak chwast na ugorze.“ Szukając w przeszłości narodowej wzorów godnych do naśladowania,

Duchińska gromiła, wzorem innych, liberynizm głów upudrowanych, przeciwstawiając im, jako ideał doskonałości, kontuszowego szlachcica; nie miała zresztą złudzeń co do wielu jasnych stron epoki Saskiej.

Nie uznawała dążeń entuzjastek, a nawet w jednym ze swoich szkiców dramatycznych, („Panny postępowe“), występuje przeciw obyczajowej emancypacji kobiet. Staje zresztą w obronie prawa kobiety do religijnego wykształcenia, z tem jednak zastrzeżeniem, aby zajęcie się nauką nie przeszkadzało jej oddaniu się gospodarstwu, co poczytuje za główny cel życia kobiety. Oto jak kreśli ideał niewieści: „Wzrokiem sięga po za chmury, a jednak nie spuszcza go z ziemi. Potrafi kiedyś być światłem i radą małżonkowi, mimo to cicha i potulna, nie przekroczy nigdy granicy, jaką Bóg zakreślił niewieście.“

Po za tem Pruszkowa sławi domowe zacisze oraz cnoty domowe, głosi prostotę życia, oddanego wytrwałej pracy, zaleca surowość wymagań i wysławiając pokorę, uważa za probierz cnoty przedewszystkiem „hart moralny i wewnętrzną niepodległość.“ (Drogoszewski).

Najpiękniejszym listkiem w wawrzynie zasług Duchińskiej była jej praca, niewiele mająca wspólnego z twórczością poetyką, ale przedewszystkiem dla społeczeństwa owocna. Zasłużyła sobie na serdeczną jego wdzięczność wydaniem „Rozrywek dla młodocianego wieku,“ których wyszło piętnaście tomów (3 serye po 5 tomów: pierwsza od roku 1856-go do 1857-go, druga w roku 1855-ym, trzecia w roku 1860-ym). Jest to pewnego rodzaju dalszy ciąg „Rozrywek“ Klementyny Hoffmanowej, nie tylko, że godny pierwowzoru, ale najzupełniej odpowiadający wymaganiom naszego społeczeństwa i stanowisku, jakie naówczas zajmowało. Staranny dobór artykułów, oraz piękny język przedewszystkiem zalecały to pisemko. Szczególną wartością odznaczał się w niem wykład literatury polskiej, podzielony na czytania, pisany zwięźle i zajmująco. Piękne powiastki i poezye w „Rozrywkach“ były pióra samej redaktorki. Po za tem znajdujemy tam opowiadania historyczne oraz wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych. Wszystko to stanowiło pożądaną i pożyteczną strawę dla kształcejącego się pokolenia i tak do smaku młodym czytelnikom przypadło, że do niedawna jeszcze można było znaleźć w dworkach szlacheckich tomiki „Rozrywek.“

Zamieszkawszy w Paryżu, Duchińska oddała się wyłącznie pracy nad literaturą obcą, dając nam cały szereg doskonałych studyów, znakomitych przekładów poezyi, oraz sumiennych tłómaczeń cennych dzieł, temu przedmiotowi poświęconych. W roku 1856-ym, ukazało się w jej przekładzie dzieło Eichhoffa: „Obraz literatury średniowiecznych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców,“ poczem wyszły jeszcze „Dzieje Węgier,“ podług Boldine'go, praca Ventury, poświęcona „Literaturze włoskiej,“ pisma Ozanama, i t. d. Pracując nieustannie nad literaturą węgierską, rumuńską, hiszpańską, niemiecką i francuzką, ogłaszała z nich liczne przekłady oraz studia, pomieszczane przeważnie w „Bibliotece Warszawskiej.“ W temże piśmie, po śmierci naj-

lepszej felietonistki polskiej, Zofii Węgierskiej, poczęła pisywać miesięczną „Kronikę Paryżką i zagraniczną i prowadziła ją stale przez lat trzydzieści, aż do roku 1900-go. Były to feljetony, zawsze nacechowane głębią myśli, wyróżniające się odczuciem, pełnią barwy, oraz wytwornością pióra. Próbowała również formy dramatycznej („Obrazki dramatyczne“ w roku 1857-ym).

Na uwagę zasługują także szkice literackie Duchińskiej o Kazimierzu Brodzińskim, Bogdanie Zaleskim, oraz Maryi z księżąt Czarotoryskich ks. Wirtemberskiej, autorce „Malwiny.“ Napisała również życiorys Jana Kochanowskiego, ale praca ta pełna fantastycznych błędnych hipotez, zgola pozbawiona jest wartości.

(Dokończenie nastąpi).



Zawsze czegoś brakuje.

„Zawsze czegoś brakowało tym, którym moje serce oddać chciałem.“

Słowacki.

Jednym z największych bólów życia jest właśnie to, iż życie zdziera złudzenia, a odsłania prawdę. Czem bardziej wysubtelnione są nasze uczucia, czem my więcej pragniemy widzieć ludzi dobrymi i szlachetnymi, tem więcej bólu sprawia owo rozczarowanie, które staje prawie na każdym kroku i niby słowy poety powtarza: „Brakuje, zawsze czegoś ludziom brakuje!“

Niestety!... Od doskonałości ród ludzki bardzo daleko jest odsunięty—realizm życia brutalną ręką odsłania garby, ułomności i blizny, istniejące wszędzie; co krok, co chwila rzuca się nam w oczy czyn jakiś, który brutalność złych dusz wyjawia, a jednak my ciągle chcemy wierzyć, iż jeszcze nie wszyscy są źli, nie wszystkim brakuje wiele do tego, by godni byli naszych uczuć, chcemy zawsze stroić ludzi w gazę złudzeń, bo sercu stają się oni wtedy bliżsi i—milszi.

W ślad za tem idzie ból rozczarowania, zachwianie wiary, znizenie lotu, że tak rzec można, lotu pragnień i wyobraźni, a potem w końcu staje straszna, plugawo-brzydka mara zwątpienia i znów szepce raz po raz:

— Brakowało! brakowało!...

Młoda panienka żali się, iż brakowało tych skrzydeł orlich u ramion jej narzeczonego, które jak jej się zdawało, były...

Młoda żona żali się, iż brakowało bardzo dużo jej mężowi wtedy, gdy rozpoczęli się bliżej poznawać.

Matka z płaczem szepce, iż synowej jej brakuje ogromnie wiele, ażeby była zdolną dać szczęście mężowi i dzieciom; siostra narzeka, iż szwagrowi brakuje poetyczności; przyjaciółka żali się, iż starającemu się brakuje praktycznego realizmu i tak w koło, bez końca, ciągle, bez spoczynku, wszędzie wszyscy jedno i to samo powtarzają:

— Brakowało! brakowało!...

Po za światem najbliższych i najdroższych

osób, którym zawsze czegoś brakuje, przejdźmy w dalsze kręgi ludzi, z którymi tyle razy się spotykamy, żyjemy, ludzi, którzy nas otaczają, przez swą pracę, pomoc i usługę. Cóż innego słyszymy? Znowu to samo:

— Byłby bardzo dobry, przyjemny, ale...

— Ładna, wykształcona, miła, ale...

— Pracowita, chętna, pokorna, ale...

— Przyjacielski, wesół, dowcipny, bardzo sumienny, pracowity, ale...

I znowu brakuje i brakuje bez końca...

Temu dowcipu, tamtej pieniędzy, temu oglądy, tamtemu stanowiska, tej urody, a tamtej żywości, słowem niezadowolenie i narzekanie do koła, jak świat szeroki i ludzkich siedzib ślady.

Więc patrząc i słysząc wszędzie jedno i to samo, zapytać wreszcie się godzi: co robić z temi brakami ludzkiemi i jakie zająć wobec nich stanowisko?

Nie można ani oczu zaślepiac i ludzi siebie okłamywaniem, iż braków niema, nie można też truć życia ciąglem wpatrywaniem się w owe braki i narzekaniem na nie.

Brakuje wszystkim, i najdroższym nam, i najbliższym, i nam samym brakuje tem więcej, im my więcej wymagamy od człowieka inteligentnego, oświeconego, od człowieka, który *powinien* być strojnym w tęczę cnot najwznioślejszych, bo one wszystkie po drodze życia stały się barwą piękna i czekały, aby je brał i niemi ducha stroił.

Lecz gdy rozczarowanie boleść sprawia, niech wyrozumiałość kładzie balsam leku i nie dozwoli łamać życia częstokroć bez żadnego powodu.

To, nad czem my zbyt często rozpaczamy iż *brakuje* kochanym naszym czegoś z piór naszej wyobraźni, z tęcz naszych marzeń, nie bywa może tak wielkiem kalectwem, ani tak wielkiem ubóstwem, ażeby mogło zniechęcić serca nasze do dalszego kochania, zrazić duszę do bliższego łączenia się.

Zapewne, ból to wielki ujrzeć, iż „olbrzymy ze szczudeł spadłe, to tylko karły,“ jak się żali Słowacki; zapewne, to przykry ów dzień, który rzuci nam srogą prawdę przed oczy i powie, iż ci, którym serce nasze daliśmy, zupełnie nie są do uczuć tego serca dostrojeni, lecz nawet gdy i tak jest—nie wolno rozczarowaniem łamać przyszłości i zwątpieniem zabijać szczęścia.

W „Dziadach“ powiada Ksiądz do Gustawa: „Od twojego wieku do grobu gościniec jest arcym długi...“, tak i ci pomnieć powinni, iż dla nich wtedy, gdy odkrywają braki u osób, którym serce oddali, że mają jeszcze bardzo długi gościniec przed sobą i muszą na przejście jego zachować siłę ducha, dzielność, moc i wiarę w to, iż ludzie godni są naszych serc i serc tych promieni potrzebują na własne ich i własne nasze szczęście...

„Na taki życia mrok,
„Rozbicia straszną noc,
„Zachowaj ducha moc
„I jasny dziecka wzrok...“ *)

To znaczy, iż trzeba mieć oczy szukające piękna i dobra, jakimi są oczy dzieci, to znaczy, iż trzeba mieć wzrok pełen pogody

*) Asnyk.

i choć mroczą go czasem łzy, jeszcze nie wątpić i nie rozpaczać.

Zapewne, iż z pierwszą chwilą odkrycia wad u tych osób, którym się serce dało, poczyna zapadać mrok życia, poczyna się jasność zupełnej wiary w ludzi zaćmiewać a jednak skargi i łzy nie przyniosą wypogodzenia, owszem — czarniejszą noc nieszczęścia przywiódą.

Są niektórzy, którzy w takich mrocznych chwilach życia powiadają, iż źle bardzo uczyniono, gdy im nie odkrywano wcześniej szeregu wad ludzkich, gdy pozwolono im kołysać się na fali idealnych marzeń o ludziach, dobrych ludziach, istotach godnych bezgranicznej miłości i wiary.

Zapewne, iż takie jakoby w szklarni chowanie młodych dusz, ochranianych zawsze od wichru, deszczu, zimna i innych przykrości, musi potem przynieść wielki ból w zetknięciu się z prawdami cierpienia życia, ale też zbyt wczesne obdzieranie serc młodych z wiary w wszelkie dobro u ludzi, takie szarpanie brutalne uczuciami pełnymi idealizmu, które z pół-aniółów robi pół-szatanów, jest także nieszczęśliwie szkodliwe i kto wie, czy nie przynosi życiu gorszych bólów, niż te, które wprowadzają powolne rozczarowanie.

„Zawsze czegoś brakowało ludziom, którym serce oddać chciałem,“ powiada Słowacki, — a słowa te jego są wyjęte z ust prawie tych wszystkich, którzy ludzi kochali i chcieli ich mieć godnymi wielkich uczuć. Czyż jednak przez to miłość zagasła w świecie? Czyż przez to jednak straciła ona cośkolwiek ze swego piękna, ze swego szczęścia i swych bogactw, rodzących wiele podniosłych uczuć?...

Chociaż ci, którzy kochają, boleją przy rozczarowaniu, zawsze stokroć szczęśliwsi od tych, którzy wyrzekli się zupełnie miłości i nie wplekli jej pasma w przedzę dni swego żywota.

Osoby zimne, roztropne aż do przesady, obliczające i mierzące rozumem każde wrażenie, a nie biorące go sercem, osoby, które chciały cierpliwie, ostrożnie i wytrwale szukać zupełnego ideału, takiego, który niebył stracił przy bliższym poznaniu — zostawały najczęściej bez ukochanych osób i albo potem miłość swą dawały psom, kotom, kankom, albo samym sobie i istniały wśród obowiązków społecznych, jako głązy zimne — nikomu niepożyteczne.

W obecnej dobie ostrożność taka wraz z bojaźnią narażenia się na zawód w miłości, ogarnia coraz szersze szeregi. Mamy młode panny i młodych panów, którzy nie kochają, bo zimno, rozumowo, liczebnie na każdą jednostkę patrzą i dostrzegłszy, iż im czegoś brakuje, odtrącają od siebie, nie pomnając, iż przy braku jednej rzeczy, może się znaleźć jeszcze wiele dodatnich stron i one mogą starczyć na wielkie, wspólne szczęście miłością plecione.

Powiadają, iż miłość powinna być zawsze prostaczką, może się nauczyć czytać i pisać, ale rachować nigdy. Nie można się na to w zupełności zgodzić. Miłość może liczyć; tylko niech zawsze więcej dodaje cnót i zalet kochanych osób, a mniej szuka ich ujemnych rysów, wtedy nie będzie z komara jakiegoś braku robić wołu nieszczę-

ścia i wtedy spostrzegłszy, iż czegoś brakuje u tych, którym serce dała, zaraz pocznie liczyć, ile znów więcej znalazła tych cnót, których się nie spodziewała.

Takie utyskiwanie, lamentowanie, rozpaczanie nad brakami u osób kochanych, częstokroć u młodych małżeństw truje szczęście całego życia, wprowadza dysharmonię, rozdziela związane przysięgą osoby na dwa nieprzyjazne sobie duchy...

I nieraz przychodzi na myśl pytanie: po co tyle robić z tego nieszczęścia, żalu i rozpacz?.. Że ten pan mąż po ślubie okazał się mniej idealnym, jak był przedtem, że temu brakuje trochę liryzmu, a tamtemu trochę cierpliwości, że ten mniej jest muzykalnym, a tamten mniej salonowym, czy to już warto sobie życie zatruwać i jemu szczęście łamać narzekaniem?

Kochając ludzi, oddając im serce, potrzeba właśnie przez tę miłość wyrabiać w sobie dla nich wyrozumiałość i aby mniej boleć nad ich wadami i brakami, mniej o nich myśleć i nad nimi rozważać. Cóż jeszcze, jeśli ta lub owa żona będzie dzień w dzień, od świtu do nocy o tem myślała, mówiła i na to narzekała, iż mąż jej mało lubi w domu przebywać, prowadzi życie wesołe; rozczarowała się! to prawda, rzecz bardzo przykra, boli to, iż brakuje jej kochanemu cnoty nader wielkiej, ale gdy jakie takie próby przełamania tego nie pomogły, trzeba cierpliwie czekać odmiany i smutek goić pracą, poświęceniem się dla jakiegoś celu wysokiego, zamiłowaniem w jakiejś pracy pożytecznej. Trzeba serce dawać takim celom, które nie zawiodą i nie rozczarują. Kto ma dzieci, niech czyni je duchami bez wad ludzkich, kto ma ubogich w złoto, niech łzy im ociera, kto ma nieumiejętnych, niech oświaty iskierkę rzuca, kto ma czas, niech sztuki piękne przygarnia, a wtedy ból rozczarowania goić się będzie i ci, którym serca nie oddało się, chociaż nie zupełnie odpowiedzieli rysom ideału, zawsze drogimi nam będą, bo bezdusznym narzekaniem i żałowaniem nie będziemy truli każdej chwili życia. Wśród cnót i wad ludzi nam znanych obliczać należy, co przeważa? Jeśli ułomności są drobnej wagi, więcej nawyknienia, jak grzechy, więcej braki wychowania, jak istotne winy, wtedy wyrozumiale i pobłażliwie starać się nawet tego nie widzieć i mieć miłość bez jęków rozpaczy.

Czy to wreszcie owe ciągle jęczenie i narzekanie, iż brakuje tego i owego naszym ukochanym, przyniesie im jakąś cnotę czy zaletę?.. Oni zostaną, jakimi byli, a my spadać będziemy coraz niżej i tracić będziemy jasność naszej pogody ducha. Bolejąc, iż ukochanym naszym brakuje niejednego, pomnijmy i na to, iż oni tak samo u nas widzą pewne braki, i oni tak samo może cierpią i żalą się, iż rozczarowania są bliźcy, więc chcąc, by oni dla nas mieli wyrozumiałość, — miejmy ją dla naszych kochanych.

Nie tak nie przecina nici miłości, jak wyszukiwanie wad lub braków u drogiej osób. Gdy raz rzekliśmy sobie, iż te osoby kochamy, iż serce nasze daliśmy im, — trzeba miłością złożyć wspólne życie i braków nie szukać uparcie. Zanadto wiele ostrożności częstokroć gasi uczucie na zawsze i potem tam,

gdzie mogło być szczęście, płacze się gorzkie ziele narzekań i gdzie powinna była być pogoda, — wlece się noc chmury pełnej rozpaczy.

Sienkiewicz powiedział w „Rodzinie Połanieckich,“ iż mężczyźni czynią dlatego tyle nieszczęsnych omyłek w miłości, iż przybierają kochane kobiety we wszystkie swoje promienie, nie zdając sobie następnie sprawy, że ten blask, od którego olśniewają, jest ich własny.

To samo można rzec i o niektórych kobietach, które przybierają wybranych mężczyzn w szaty swoich myśli, stawiają ich na wyższeniach przez siebie wymarzonych, a potem ujrawszy braki, nie chcą zrozumieć, iż to nie oni, nie ci wybrani zmienili się, lecz to one, kobiety, zmieniły punkt widzenia i patrząc później bliżej widzą to, czego przedtem nie dostrzegły.

Miłość zwykle oczyma poczyna kochać. Oczy najpierw chwycą coś w tej osobie powabnego, pociągającego i powiodą serce w niewolę... Ale też i potem te same oczy niegodziwie zdradzają, one rozczarowanie przynoszą i jemu poczynają pokazywać braki. Oczy też potem najwięcej cierpią, bo myją się łzami i mgłą smutkiem...

Więc gdy chcemy serce oddawać ludziom, nie czynmy tego przez oczy. Trzeba poznać lepiej, trzeba słuchać i widzieć, śledzić czynów ślady, poznać nawyknień ramki, trzeba pokochać nie ideał, ale człowieka w tym ideale ukrytego, a wtedy choć będzie niejedno brakowało, rozpaczy w domu nie potrzeba!..

...„A czy wiesz, co jest szczęścia tajemnicą
O serce!...

I żyj temu, co nad śmierć, nad ból, nad złudzenie
Trwa nieskończenie...“

Jadwiga z Z. Strokowa.



INSTYKT NAUCZANIA,

podług

D. E. PHILLIPS'A,

członka Uniw. Clarka,

opracowała

ANNA GRUDZIŃSKA.



(Dokończenie).

Chińczycy czezą pamięć Konfucjusza, który choć odmienny w charakterze, był także wielkim pedagogiem. W cztery lata po ślubie rozwiódł się z żoną, by móż się całkowicie poświęcić swojej idei. Najboleśniejszy cios, śmierć ukochanej matki, która go na lat trzy okryła żałobą, wywołała w nim żądę nauki i pracy filozoficznej, szczególnie ze względu na ustrój społeczny i moralny. Jego system edukacyjny, przewyższał system Hebrajczyków i ludów Zachodu, zajmując się różnicznymi zagadnieniami, jako to: „Naśladowanie natury,“ „Forma bez świadomości,“ o karach, o różnicach indywidualnych.

Wytyczną jego życia, pomimo przesładowań i niechęci, było „Jin,“ czyli ludzkość, a rządził się li tylko miłością; ulubioną jego

maksymą było: „Prawdą jest głąb ludzkiej natury, a człowiek—miłością.“

Z myślą o Sokratesie łączy się myśl o nauczaniu i nauczycielu. Zrodzony w nędzy, znosił ją z całym zadowoleniem, poświęcający się, a jednak niezależny. Jego umiejętność wstrząsania, oddziaływania, rozbudzania drzemającej iskry, jest wprost niezrównaną i nie znalazła dotąd naśladowcy. Cały wiek dojrzały spędził na narzuconym dobrowolnie obowiązku nauczania, które tak pochłonęło całą jego istotę, że interes narodowy, dobro ekonomiczne, staranie o zabezpieczenie już nie fortuny, ale bytu, było niczem dla niego, dlatego wiecznie cierpiał niedostatek, nie szemrząc nigdy. Po całych dniach widywano go na rynku, wśród gawiedzi i tłumu, pytającego, badającego, mówiącego i nauczającego—nie było dotąd istoty, któraby całe długie życie poświęciła na naukę tak szczerze dawaną, bez najmniejszej zapłaty, a częstokroć uznania. Nadto Sokrates nauczył się od dzieciństwa słuchać wewnętrznego głosu, który go ostrzegał, wstrzymywał i wiodł; niektórzy impuls ten wewnętrzny nazywali geniuszem Sokratesa. Słuchał tego wewnętrznego głosu, a jednak nie uważał się za nic wielkiego lub nadprzyrodzonego, szedł z nim i za nim, spokojnie i cicho, niby zwykły śmiertelnik,—głos ten zjawiał się nie tylko w wielkich momentach, ale i drobnych zajściach codziennego życia. Kiedyś, śniąc o życiu przyszłym, mówił, że wypytywał duchy wielkich umarłych, błędzących po Elizejskich polach, i dało mu to chwilę ogromnej rozkoszy. Uwięzienie i śmierć Sokratesa należą do niezapomnianych czynów heroizmu ludzkiego.

Chrystus Pan posiadał ogromne zdolności nauczania i przewodniczenia, umiał pociągać i działać na tłum, któremu imponował zaparciem się siebie, powagą, prostotą i niezmierną miłością współbraci. Chrystus — zwalczył egoizm i zbudował królestwo braterstwa i wzajemnej miłości, szedł w myśl z góry powziętego planu, który konsekwentnie przeprowadził; dał żywą naukę zaparcia się Siebie, bez złorzeczenia; z pogodą szedł drogą wiodącą na śmierć, dla dobra nauki i ludzkości!

Chrystus działał dobrocią i łagodnością; nie było w stanie zniecierpliwieć Go i rozgniewać, ani brud, ani fałsz, ani złość, ani głupota—brał dusze swych braci w swe miękkie dłonie i urabiał z nich to, co wydawało mu się ideałem. W ten sposób wypełnił ogromne swe posłannictwo i stał się wzorem dla każdego myślącego nauczyciela, któremu dobro współbraci na sercu leży. Chrystus nie mówił swym uczniom: „Naśladujcie moją metodę, starajcie się poznać mój sekret,“ mówił: „Idźcie za *mną*, naśladujcie *mnie*.“

Wielkość Komeniusza pochodzi też z zaparcia się siebie; zrodzony w nędzy, sierota od powicia, wychowany z łaski maluczkich, wyszedł hartowny, jak stal, z tego życia trudu i nędzy i postanowił wszystkie siły poświęcić dla podniesienia dobrobytu ludu, który widział jedynie w podniesieniu wykształcenia, w oświacie. Podług niego każdy dom powinien i mógł zostać szkołą. Skromny, nieśmiały, z trudnością dał się namówić do ogłaszania prac swych i tylko przekonanie, że mogą być użyteczne, zdołało go do tego kroku na-

kłonić. A jednak pielgrzym ten bezdomny, stał się najwplywowszym nauczycielem XVIII wieku.

Straciwszy żonę, dzieci, książki swe i manuskrypty, przesładowany, wyganiany, błąkał się przez lat sześć ze stałym przekonaniem o prawdzie i pożytku swej nauki, nie oceniony, nie zniechęcony!

Główną maksymą jego było zdanie, że troška w wychowaniu dziecka, bezwarunkowo należy do rodziców, ale ci rodzice muszą mieć pomoc specjalistów w nauce i prowadzeniu dzieci.

Życie J. J. Rousseau przedstawia się nam, jako nierozwiązane dotąd zagadnienie. Czasem zdaje się, że się ono na dwie, zupełnie oddzielne, rozpada części. W latach twórczości wznosił się do boskiej ekstazy, mimo, że słaby charakter często brał górę nad nim. W okresie powstania jego czterech nieśmiertelnych dzieł zdawało się, że przez usta jego przemawia jakaś nieskończenie wyższa, skryzalizowana istota. Choć jako pedagog nie występował nigdy, spowodował ogromny przewrót i postęp w ludzkości.

Sierota, włóczęga z wadliwym wychowaniem, mieszkawiec nor za kilka centymów na dobę, dla którego chleb był za drogi, a wygody nie znane — czemu mógł się stać!

Rousseau rzadko był szczerym, był złym i niestałym ojcem i trudno przypuścić, żeby to miłość dla dzieci, miłość ludzkości, wywołała w nim to przekonanie, które kazało Francji zmienić cały system edukacyjny, to przekonanie, które kazało mu wołać: „Kochajcie dzieci, nakłaniajcie dzieci wasze do sportu, rozrywek na łonie natury, podtrzymujcie w nich instynkt i potrzebę kochania!“ lub: „O ludzie bądźcie ludzkimi! Bądźcie ludzkimi dla wszystkiego, co słabe, co małe, dla każdego wieku i stanu!“

Te słowa raczej dyktowały mu geniusz wewnętrzny i zrozumienie potrzeb ludzkości i swego narodu, aniżeli serce i altruizm.

Że Pestalozzi namiętnie kochał dzieci i ludzką całość, nie ulega wątpliwości i miłość ta, stała się głównym powodem jego powodzenia. Pracował niezmiernie oszczędnie przez lat sześćdziesiąt nad usunięciem zła wśród swych współbraci, o jego poświęceniu i zaparciu się siebie wie każdy doskonale, należy tylko rozpatrzyć szczególną, odrębną tych uczuć. Życie całe poświęcił dla sierot i wyrzutków społeczeństwa, dzieci zaniedbanych moralnie, umysłowo upośledzonych; w ciągłej, nieustannej pracy stał się żywym przykładem poświęcenia.

Pestalozzi także słuchał tajemnego głosu, który mu kazał niektóre słowa, niektóre pojęcia w szczególny sposób oddawać i tak głos jego nabierał szczególnie miękkiej i pieszczotliwej intonacji, gdy wymawiał słowa odnoszące się do uczucia i miłości. Uczniowie jego naśladowali go i uczyli się w ten sposób klucza i podstawy wychowania. Kołsi, uczeń jego i asystent mówi o nim: „Posiadał tajemnicę nauczania, zupełnie wyłączną, rozumiejąc tak, jak nikt inny, serce ludzkie, umysł ludzki, i znał sposób uszlachetniania ich.“

Froebel posiadał instynkt i miłość macierzyńską, prócz geniuszu pedagogicznego, temi czynnikami umiał zbadać głąb duszy

dziecka lepiej, aniżeli ktokolwiek bądź inny. Tak, jak matka, spełniająca wszystkie swe czynności koło niemowlęcia, powodowana jest nie tylko samą miłością ku niemu, ale i myślą zbudzenia śpiącej dotąd duszy i czuwania nad każdym jej impulsem, tak przez skromne i błahe na pozór środki dążył Froebel do wielkiej idei rozbudzenia umysłu i serca.

Szczególnem może się zdawać, że dziwny i szorstki na pozór człowiek, imieniem Basedow, wybrany został na promotora różnych edukacyjnych inowacyi. Surowość ojca wypędziła go z domu, przyjęli go obcy, odkrywający wkrótce niezmiernie jego uzdolnienie. Po skończeniu szkół i uniwersytetu, wykazał, jako nauczyciel domowy niezwykle zdolności pedagogiczne, w późniejszych zaś latach, umiał skłonić wymową swą królów i książąt do dzieł filantropijnych; nawet surowy Kant, entuzjastycznie o nim się wyrażał, a Goethe unosi się nad jego pracowitością, mówiąc, że był to człowiek, który nawet nigdy się nie rozbierał; nie chcąc tracić czasu, drzemał w ubraniu, by zaraz znów pisać lub dyktować.

Fallenberg, uczeń i sekretarz Pestalozzi'ego, poświęcił 45 lat życia nauczaniu, w tej pracy pomagała mu żona i dziewięcioro dzieci. W szkole jego nie było różnic stanu, ani przekonań.

Lancaster zaczął od nauczania tylko kilkorga dzieci, z czasem miał po 1,000 i więcej uczniów; ze szkół jego wyszli najlepsi i najznakomitsi nauczyciele i nauczycielki.

Francke, twórcą wielu pożytecznych instytucji w Niemczech, zbierał biedne i opuszczone dzieci, ucząc je we własnym domu, skończył zaś na tem, że w jego szkole gromadziło się po 2,000 dzieci różnych stanów.

Tomasz Arnold miał zostać duchownym, zamiast tego, uczuł powołanie do nauczania dzieci i przez lat kilkanaście opiekował się w jednej z największych szkół w Anglii uczniami swymi tak, jak tylko matka opiekować się potrafi.

Marek Hopkins, ogromnie ukochany i znany w Ameryce nauczyciel, dowiódł całym swym życiem wrodzonego instynktu pedagogicznego.

Na zakończenie wypada nam wymienić, trzy kobiety, których nazwiska zapisały się złotemi głoskami w dziejach nauczania i świata dziecięcego; są to: pani de St-Cyran, której miłość dla dzieci dotąd nie znalazła równej; pani Necker, która tak wysoce rozumiała siłę sympatyj, przyspieszającą tętno serdecznego pojęcia tak u ucznia, jak i u nauczyciela, wreszcie pani Guizot, która dowodziła pracą całego życia, że żadne nauczanie, żadne metody, porównania z rodzicielską nauką nie zniosą.

Wszyscy ci wielcy nauczyciele, powodowani miłością — wyrozumiałą i cierpliwą — stali się przewodnikami i wzorem prawdziwych nauczycieli, dowodząc zarazem, że instynkt nauczania jest wrodzony, a nie nabyty, że idzie w parze z abnegacją, wyrozumiałością i bezmierną miłością ludzkości w ogóle, a w szczególności — bezbronnej, niewinnej duszy dziecka.



Marya Kunkłowa.

O G I E Ń.

NOWELLA.



(Ciąg dalszy).

II.

Kochań Maniu!

Przebac mi moja droga, ale tak mi zeszło, zem od Wielkiejnocy do Ciebie nie pisała, a teraz już po Zielonych Świątkach. Nie myśl, że przestałam Cię kochać, lub zem o Tobie zapomniała — o nie! jesteś zawsze dla mnie najdroższą przyjaciółką, ale... ach! nie wiem nawet, jak Ci to wszystko opisać!... Wyobraź sobie, — tylko nie zemdlej ze zdziwienia — od dwóch tygodni jestem narzeczoną pana Czesława!...

Zaczął u nas coraz częściej bywać, a że folwark ma zaledwie o parę wiorst od naszego miasta, więc przyjeżdżał nieraz codziennie.

Pewnego dnia, wracając z lekcji, przechodziłam obok cukierni, gdzie właśnie siedział z gazetą w ręku; ujrawszy mię wybiegł i spytał, czy może mi towarzyszyć. Trochę mię to żenowało iść samej z mężczyzną, ale pomimo tego byłam troszkę, a nawet bardzo zadowolona.

Gadu gadu o tem, owem, aż nareszcie spytał, czy serce moje jeszcze wolne. Powiedziałam mu szczerze, że do Wielkiejnocy było wolne, ale teraz — ktoś mi się bardzo podoba.

— To zupełnie tak, jak mnie! — zawołał. — A czy wolno wiedzieć, jak *on* wygląda?

— Aha! a niech pan pierwej opisze, jak *ona* wygląda.

Troszkę się domyślałam, że to ja, ale byłam ogromnie ciekawą, co powie.

— Blondynka, średniego wzrostu, ma duże, rozumne oczy, małe pasowe usteczka i bardzo ładne ząbki! — powiedział, patrząc na mnie jakimś ciepłym i słodkim spojrzeniem.

Ja jednak nie mogłam wytrzymać jego wzroku, spuściłam oczy i zaczerwieniłam się, sama nie wiem dlaczego.

— Zapewne pani już się domyśliła o kim mówię? — spytał.

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, więc — milczałam.

— To panią kocham, panno Ireneo! — rzekł cicho, a głos jego głęboki, prawdziwie męzki, drżał nieco.

O Boże! jakże się czułam szczęśliwą! W uszach brzmiały mi wciąż jego słowa... Nigdy nie przypuszczałam, żeby parę wyrazów mogło sprawić tyle, tyle radości. Chciałam zobaczyć, jak on wygląda w tej uroczystej chwili, a spojrzawszy mu wprost w oczy, doznałam wrażenia, że oboje jesteśmy sobie bardzo blizcy, że jedno i to samo uczucie wypełnia nas do dna i że w około nas brzmi jakaś dziwna, cudna pieśń...

A on począł powtarzać: „Irenko... Irenko...”

Wszystko mieściło się w tym jednym wyrazie: tryumf, prośba, radość, a nawet... i trochę obawy. Nigdybym tak nie umiała powiedzieć!... Milczałam też, ale po cóż miałam mówić? wszak on i tak już wszystko wiedział...

Potem wszedł ze mną do mieszkania, wywołał babcinę z kuchni i spytał, czy wolno mu się ze mną ożenić?

Babcisko się spląkało, pobłogosławiło nas i dalej poszło dokończyć pitraszenia obiadu z Józefą. A ja przez kilka dni chodziłam jak nieprzytomna, ciągle powtarzałam sobie w myśli „Irenko... Irenko...” — starając się przypomnieć głos jego i spojrzenie.

Ach! po tysiąc razy przeżywałam tę chwilę... Przez miłość moją w inny jakiś świat weszłam i rozglądałam się po nim z ciekawością i niepokojem.

Raz poszliśmy oboje z babciną na Tumską górę. Był ciepły majowy wieczór. Usiedliśmy na ławce, za nami pachniał krzak bzu. Boże! jak tam pięknie! Przez tyle lat patrzałam na ten widok najzupełniej obojętnie — dopiero teraz spostrzegłam cały urok tego miejsca.

Słońce zachodziło za złote i purpurowe chmury; woda w Wiśle lśniła się, jak roztopione żelazo; na przeciwnym brzegu kontury drzew ginęły w zielonej mgłę młodych liści — het daleko na horyzoncie widniał pas lasu, rysując się wyraźnym fioletem. Zciemniało się, gasły zorze na niebie i na rzece. Z dołu dochodziły głosy flisaków i berliniarzy. Świątelka zapłonęły na tratwach i w chatach włościan. Stary katedralny dzwon uderzył poważnie na modlitwę za poległych pod Warną... Babcia przeżegnała się i zaczęła szeptać swoje pacierze.

Cicho było, ciepło i wonno — jakaś słodka niemoc opanowywała mię; on siedział obok i czułam jakies dziwne prądy pomiędzy nami... Naraz wziął moją rękę leciutko, delikatnie — zdawało mi się, że iskra elektryczna przebiegła mię od stóp do głów, a w uszach mi zadzwoniło, na chwilę odbiegła mię przytomność. Powoli, ostrożnie począł odpinać rękawiczkę... I oto nagle stanęło mi w myśli, że to ja... ja... wkrótce będę żoną tego drogiego mi człowieka, bliską mu bardzo i kochaną...

Pochyliłam się ku niemu, oparliśmy się ramionami i tak siedzieliśmy milcząc, wsłuchani w eichy szept naszych serc.

Gdy wróciliśmy do domu, babcisko poszło do kuchni zająć się herbatą, a ja siadłam rozmarzona na kanapce, on usiadł przy mnie bliźniutko — obezwładniał mnie swoją obecnością.

Potem... nie wiem jak się to stało, ale poczułam jego usta gorące, miękkie, słodkie na mych wargach...

Gwiazdy, słońca krążyły wkoło mnie w szalonym wirze — przebywałam wielkie przestrzenie z szybkością błyskawicy i oto znalazłam się w czarodziejskiej jakiejś krainie. Wokoło mnie wiły się kwiaty o odurzającej woni — fale niewymownej słodyczy krążyły w mych żyłach — cudna harmonia odbierała mi zmysły. Światło różowe, ani ze słońca, ani z niebios, ale lśniące własną mocą, ogarniało mię zewsząd. Nie wiem, jak długo to trwało — może wieki całe, może chwilę tylko... Naraz wszystko pierzbło: szeroko otwierając oczy, patrzałam zdziwiona na znajomy stół i płonącą na nim lampę z zielonym kloszem... Zniknął czarowny ogród miłości — byłam znów na ziemi...

Podczas herbaty machinalnie jadłam, mó-

wiłam — duchem nieobecna. Czułam, że inną się stałam, innym mi się wydał i Czesław, siedzący obok z miną dobrze wychowanego człowieka. I przyglądałam się jego włosom, myśląc jak przepuszczać je będę lekko między palcami w słodkiej pieśczoce, patrzyłam na czoło, oczy, policzki, usta, uprzytomniając sobie, jak po nich przesuwając się będą me usta spragnione; patrzyłam na jego dłonie, które błąkać się będą w szale upojenia po mnie całej... Wypatrywałam odkrytej ręki powyżej mankietu i karku za kołnierzem, starając się odgadnąć, jakieby były w dotknięciu... Czułam się otoczoną atmosferą i ciepłem jego ciała, które promieniowało ku mnie przez odzież i przestrzeń...

A później, gdy znalazłam się sama w mym dziewiczym pokoiku, opowiadałam sobie długo w noc bajki o tych nieznanym cudach, które mnie czekają w zaczarowanej krainie miłości.

Tam to odurzające kwiaty ciała me pieścić będą aksamitnymi płatkami, otoczy mię woń i światło różowe, a cichy szmer fontan kołysać mię będzie. Tam to stoi pałac z kryształową złotą zdobny koronką, a w nim w półmroku w ostatniej z komnat szeregu zakryty posąg Izydy. I stanie się cud! spadną zasłony i spojrzę oko w oko tajemniczej bogini, a jej usta martwe drgną, poruszą się i wypowiedzą słowo zagadki... a wtedy pojmem szalony wir świata, pojmem jego początek i koniec, pojmem wieczność i życie!...

Wczoraj poszliśmy sami na naszą ulubioną ławeczkę. Było to po południu: mnóstwo muszek, pszczoł i owadów unosiło się w powietrzu — wszystko drgało świąteczną muzyką godów wiosennych.

Naraz ujrzeliśmy dwa białe motyle, płynące nad nami; dotykały się one skrzydełkami, oddalały, znów zbliżały pogrążone w upojeniu.

— Tak, jak my! — szepnęłam.

Oboje z zajęciem śledziliśmy te dwa stworzonka, przepelnione świętą siłą natury; wtem ostry czarny cień przeciął błękit, przeleciała chyża jaskółka śmierć niosąca, a u nóg naszych upadł jeden tylko motyl, ze skrzydełkiem porwanem w strzępy. Drżał cały i usiłował wznieść się w powietrze, lecz po daremnych wysiłkach opadał bezwładny...

Niezmierny smutek zasłonił mi nagle kiem świat cały. Czułam się tym biednym motylem, co męczył się u nóg moich, stracony z czarownej krainy słońca i szczęścia w otchłań rozpacz i cierpienia.

Ostrożnie położyłam biedne stworzonko na trawniku. Dziś rano przyszedł zobaczyć, co robi. Biedny! z rozbitem skrzydłem żył jeszcze i męczył się...

Czy szczęście istnieje? czy człowiek mocen jest zdobyć je i posiadać?... A może właśnie w chwili, gdy ma czarę do ust przybliżyć, przyleci czarny ptak i zdruzgotuje mu skrzydła!...

Twoja Irena.

(Ciąg dalszy nastąpi).



WIKTOR OTTMANN.

USŁUŻNE DUCHY.



Pieniądz leży na ulicy, a najłatwiej wyciągnąć parę groszy z kieszeni podróżującego dla przyjemności turyście. Ku temu celowi zmierzają wszystkie drobne przemysły, do uprawiania których trzeba posiadać jedynie: dzielne nogi, dobry rzut oka na możliwe zarobki i dostateczną ilość zimnej krwi. Wszędzie, gdzie tylko jest znaczniejszy ruch cudzoziemców, stoją obok tragarzy i posłańców: przewodnicy, tłumacze i wszyscy możliwi tubylcy, gotowi na każde skinienie, gdzie ich zapotrzebują, lub też, jak się to częściej przytrafia, gdzie są niepotrzebni. Wobec surowej dyscypliny w miastach niemieckich nie widzi się tego wcale, lub mało, lecz w innych krajach, szczególnie w południowych Włoszech, w Hiszpanii i na Wschodzie, podróżny nie może zrobić kroku z dworca lub hotelu, ażeby nie był obskoczony przez kilka postaci mniej lub więcej podejrzanych, które przepelnione są żywą chęcią ulżenia jego sakiewce. Naprawdę udajesz głuchego i ślepego, naprawdę odpychasz ich szorstko, przyczepiają się, jak kleszcze i póty przemawiają i mordują, dopóki ci nie narzucą swoich usług natrętnych. A gdy przyjdzie do zapłaty, wtedy pokorna postawa zazwyczaj znika i z pełzającego cicerona wynurza się raptem zachwały „patron.“ Stara, jak świat historia, która niestety, pozostanie zawsze nową, gdyż dopóki będą turyści, istnieć też nie przestaną te pijawki turystyczne.

Odróżnić jednak należy skromnego specjalistę na usługach dla cudzoziemców. Człowiek ten jest na posterunku dzień w dzień, na deszczu i na słońcu. W Paryżu np. staje przed gmachem Inwalidów, a ponieważ zna nieco język angielski, oczekuje tu głównie na damy amerykańskie i angielskie, by im udzielić żądanych objaśnień; nie wciąga ich w żadne zażki, lecz staje jawnie przed fasadą domu.

Drugim typem jest paryzki „interpret;“ temu, dzięki wymowie, udało się znów schwytać kółko cudzoziemców, ciągnie więc swoje ofiary w gwałtownym marszu do miejscowości, „które widzieć trzeba,“ by w domu zaimponować i sprawić wrażenie pół-Paryżanina. „Interpret“ umie wspaniale wykonywać swój program; z galerią w Luwrze „załatwia się“ w ciągu dziesięciu minut, a gdy klienci rozstają się z nim, mają przekonanie, że w dziale sztuki, obecnie nie już nie jest im obcem. „Czy pan widział Père Lachaise?“ — spytał ktoś takiego niewinnego turyście, po powrocie jego z Paryża. „Père Lachaise? ależ naturalnie! Wspaniały lokal, przetańczyłem trzy razy w około!“ — brzmiała odpowiedź.

We Włoszech, w tem klasycznym państwie przemysłu dla cudzoziemców, znajdują się naturalnie w najwyższym rozkwicie małe uliczne przedsiębiorstwa, ale tu dzieje się wszystko o wiele mniej „gemüthlich,“ aniżeli u grzecznych Paryżan.

Z chwilą, gdy obcy przybysz opuszcza dworzec lub statek i pakunki swoje każe wnieść posługaczowi do dorożki, staje się przedmiotem spekulacji w rękach usługowych duchów, ścigających go krok za krokiem. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość, że natręctwa te nie dają się już teraz tak bardzo odczuwać, jak dawniej; w skutek zażaleń podróżnych, policja stała się czujniejszą i surowszą.

Neapolitański komisyjner „robi wszystko,“ pod warunkiem, że go to nie będzie kosztowało ani kropli potu i że turysta zapłaci mu co najmniej potrójną takse, prócz znacznego extra-napiwku. Sympatycznymi zjawiskami bynajmniej nie są ci synowie Południa, na-

wet przy hojnej zapłacie obywa się rzadko bez żądań i nieprzyjemnych zajęć; dlatego też dobrze jest przyjmować ich usługi—o ile można najrzadziej.

„Ameryko! tobie jest lepiej!“ — zawołałoby się i w tym wypadku słowami Goethego. W Ameryce turysta nie potrzebuje obawiać się niepożądanych, usługowych duchów; przeciwnie, brak mu ich często, jeżeli się nie nauczył stać o własnej sile. Tylko w nielicznych miejscach, np. przy wodospadzie Niagary, daje się nieco odczuwać „Fremdenindustrie,“ zresztą nie zwracają wcale uwagi na obcych turystów i nawet w hotelu nie ofiarują mu żadnych usług.

Za to istnieje tam innego rodzaju usługowy duch, którego zjawienie się na amerykańskich ulicach i w amerykańskim życiu jest niezmiernie charakterystyczne; jest to tak nazwany „Messenger-boy.“ Chłopiec „do wszystkiego“ w wieku od lat 13—18-tu, łączy w swej smukłej postaci obowiązki roznosiciela depesz, pism, kassyera, roznosiciela pakunków, przewodnika dla podróżnych, towarzysza podróży, opiekuna dzieci, a nieraz też pazia i przybocznej gwardyi dam, będących bez męskiej opieki.

W wielkich miastach Nowego Świata roi się od Messenger-boys. Oprócz biur telegraficznych i hoteli, są specjalne zakłady, utrzymujące małą armię młodych chłopców, których wysyłają do domów, na zawezwanie telegraficzne. Messenger-boy jest to przyzwyczajony, rozgarnięty młodzieniec, „smart“ i pewny siebie, jak cała młodzież amerykańska, wcześniej zaprawiona do zarobkowej pracy.

Jak żołnierze Bonapartego nosili w tornistrze laskę feldmarszałkowską, tak i Messenger-boy nosi w sobie przekonanie, że w niedługim czasie stanie się czemś „porządkiem“ i uważa swoje obecne zajęcie jedynie za „start,“ za pierwszy szczebel na wielkiej drabinie życiowej, i z chwilą, gdy mu się mundur zaczyna przykrzyć, przerzuca się do innego fachu. Powołanie jego jest doskonałą szkołą do amerykańskiej praktyki życiowej: obcuje z najróżnorodniejszymi ludźmi ze wszystkich klas, uczy się brać ich za takich, jakimi chcą się przedstawiać, staje się bystrym spostrzegawcą i młodym dyplomata.

„Nasi młodzieńcy“ — mówił raz przełożony takiego Messenger-boy instytutu, — „mają najlepsze widoki pomyślnej kariery. Albo stają się dzielnymi przemysłowcami, albo wielkimi nicponiami. Na szczęście, zdarza się częściej pierwsze i między stoma jest dziesięćdziesięciu uczciwych, takich, na których można polegać i którzy wyżej sięgają. Andrzej Carnegie był Messenger-boy'em, Robert Pitcairn, również jak i niejeden z naszych przywódców kolejowych. Tuzinami dałoby się wyliczyć innych wybitnych obywateli, którzy jako młodzi byli „na poselki.“ Dla fachu defektywów przedstawiają również doskonale przygotowane siły.“

Widzimy więc Messenger-boy'a w najrozmaitszych rolach. Raz ukazuje się, jako roznosiciel depesz w towarzystwie koleżanek, gdyż są także i Messenger-girls. W innej chwili widzimy go towarzyszącego damie załatwiającej zakupy i niosącego za nią pakunki, a przybędzie ich pewnie jeszcze sporo, gdyż Amerykanki lubią robić więcej sprawunków, aniżeli to jest miłym małżonkom, lecz „panowie domu“ (należy ten wyraz trochę ironicznie podkreślić), są tam zbyt wygodni i dobrze wychowani mężowie, by mieli głośno szemrać.

A oto inny obrazek: pani chce pójść do teatru lub na koncert, mąż jest właśnie zajęty i nie może jej towarzyszyć, ani odprawić później do domu, — a od usługi żeńskiej nie można czegoś podobnego zażądać, gdyż te wdzięczne istoty posiadają tam punkt honoru w najwyższym stopniu drażliwy. Cóż więc czynić? Rzecz prosta. Wzywa się Messenger-boy'a, który zjawia się w parę

minut i pełen taktu odgrywa rolę małego kawalera. W podobny sposób służy paniom na przechadzkach. A jeżeli się zdarzy, że siądzie obok czytającej panienki i rozłoży swój dziennik, — będzie to zupełnie po amerykańsku.

Wreszcie widzimy Messenger-boy'a jako wiernego opiekuna maleńkich. Nauczycielki a nawet piastunki są zbyt kosztowne dla skromnych domów amerykańskich, zaś bez opieki nie można pozostawiać dzieci wśród zamętu wielkich miast, nie narażając ich na niebezpieczeństwa; najmuje się więc na godziny Messenger-boy'a i młody chłopak spełnia swój obowiązek opiekuna z całą sumiennością.

Do usług ulicznych w Ameryce należy także czyszczenie obuwia, gdyż żaden amerykański służący nie zniży się do tego zajęcia. Kto zatem nie posiada dosyć woli, cierpliwości i braku fałszywego wstydu, by zastosować do siebie regułę: „Sam sobie usługuj,“ ten musi się udać do ulicznego specjalisty, by mu w tym kierunku dopomógł.

M. K.



MAROKKO.



(Ciąg dalszy).

Do liczby tych uprzywilejowanych należał między innymi Ludwik Piersch, którego relacyi zawdzięczamy nie jeden ciekawy szczegół z życia Marokka. Zaliczony do składu niemieckiego poselstwa, które pod przewodnictwem d-ra Teodora Webera udało się do Fezu, przepędził jako gość Jego Sułtańskiej Mości trzy majowe tygodnie w tej stolicy Marokka. Podróż trwała czternaście, stosunkowo krótkich, przemarszów dziennych, w towarzystwie przyslanej do Tangeru na spotkanie poselstwa eskorty, składającej się z siedmudziesięciu marokańskich jeźdźców o przepysznym, malowniczym wyglądzie, oraz licznej służby, zaopatrzonej w namioty i wielbłądy, przeznaczonych dla przewiezienia cesarskich upominków; odbyto ją na koniach, oraz mułach, również przez sułtana przysłanych; do Tangeru powrócono innymi drogami w podobny sposób.

Cała ta wyprawa winna być zaliczona do najbardziej zajmujących podróży, jakie sobie wyobrazić może człowiek, obdarzony poczuciem piękna i goniony za nadzwyczajnymi przygodami.

Trudno tu zdawać sprawę z każdego dnia podróży, oraz przytaczać wszystkie obserwacje autora, poświęcone krajowi i zamieszkujejącej go ludności. Chodzi nam przedewszystkiem o szczegółowy opis samego miasta Fezu, niecierpliwie oczekiwanego celu długiej podróży.

Na spotkanie karawany wyruszył przed bramy miasta cały jego garnizon, wszystkie czarne oraz brunatne gwardye sułtana, konno albo na bosaka, jedni przybrani w białe szaty, inni zaś w suknie o barwnych kolorach tęczy — wszyscy zaś do niemożliwości brudni; garnizon ten wyruszył, by przyjąć uroczyste „aaszadora,“ wraz z jego towarzyszami, oraz stanowić ich świętą przy wjeździe do miasta. Wjazd ten nastąpił podczas ulewnego deszczu, przy ogłuszającym odgłosie wzajem ze sobą pomieszanych dud, trąb, oraz bębnow, w otoczeniu owych zastępów, przez mroczną zachodnią bramę, znajdującą się w wysokim miejskim murze, pokrytym zębą gankiem.

Przejeżdżano około białego, ocienionego figowemi drzewami, pokrytego kopułą budynku, który kryje grób świętego, a znajduje się u stóp daleko sięgającego górskiego grzbieta

Dżebel Salar; porastają go w części gaje oliwne, w części zaś karłowate krzaki, liczne mi poryte rozpadlinami górskiego, Dżebel Salar piętrzy się na lewo, na północ od drogi, ograniczony na południu piaszczystym, przeznaczonym na wojskowe parady pustym placem, sięgającym aż do wysokich murów sultańskiego okręgu krajowego, a położonym pomiędzy nimi a murem miejskim.

Pod tym murem, nieopodal głównej bramy piętrzą się góry cuchnących śmieci i gnijącej tam na otwartym powietrzu padliny. Po za głęboką, gromkiem rozbrzmiewającą echem arkadą miejskiej bramy, sklepioną w maurytańskim kształcie podkowy, ciągnie się po obu stronach ulicy długi szereg sklepów, oraz otwartych warsztatów. Dalej droga częścią w błotach i bagnach tonąca, częścią zaś w skale wykuta, prowadzi przez opustoszałą płaszczynę, na której tu i ówdzie wznoszą się pozornie jakby umyślnie rozsiane, pokryte pleśnią czasu mury i wieże warowne z zębataym gankiem u szczytu, sklepienia bram, fundamenta rozległych pałaców, których budowę przerwano, ażeby już nigdy jej nie dokonać. Po nad blankami owych murów widnieją glazurowane na zielono ceglane dachy kiosków oraz meczetów, wysokie, czworoboczne, krzepkie wieże, po nad których płaskimi formami, tu i ówdzie wznosi się budynek nowszego pochodzenia z małą, baniastą, pokrytą metalem kopułą. Szczyty starych potężnych drzew figowych, granatowych i pomarańczowych, oraz smukłe palmy, każą się domyslać, że w dali tam rozkładają się ciche, ukryte ogrody.

Cała ta fantastyczna całość na południe od drogi tworzy już sama przez się miasto, dzielnicę, w której rezyduje sułtan, oraz seraj. Lecz przed naszymi oczyma wznosi się jeszcze drugi mur, otaczający właściwe miasto. Przekroczywszy bramę doń prowadzącą, wступujemy w długą ulicę, ożywioną gęstym tłumem cisnącego się ludu, która pomiędzy bocznymi murami i wązkimi ulicznymi przesmykami prowadzi od tej w górę położonej dzielnicy Nowego Fezu do Starego Fezu, zbudowanego w dole, głęboko, w dolinie rzeki oraz na stokach tej pochyłości. Ulica ta na długiej przestrzeni jest pokryta trzcina albo winogradem, pnącym się na drewnianych kratkach. Widać tylko nagie, brudno szare zewnętrzne ściany domów, pokrytych płaskimi dachami; tu i ówdzie zasiane beładnie rozrzuconymi, zakratowanymi albo podobnymi do strzelnic otworami.

Gdzieniedzie zwraca na siebie uwagę krynica, spływająca w cysterne ze ściany, przybranej w małe, zdobione w maurytańskim stylu lśniące majolikowe tafle, w kształt podkowy kamiennej; tu i ówdzie stary portal z gzemsem, bogato pokrytym pełną wdzięku, staro-saraceńską sztukaterią. Po długiej, prawdziwie karkołomnej jeździe stromą drogą, fantastycznie zasianą kamieniami różnej wielkości i beładnie plątającą się w małych, cichych wyludnionych zaułkach, podróżni przybyli wreszcie do wązkiego, mrocznego przejścia, które wywiodło ich na uroczy maurytański dziedziniec ogrodowy, rozbrzmiewający pluskiem i szmerem wielu krynic, ocieniony pomarańczowemi drzewami, otoczony pięknymi arabskimi piętrowymi budynkami, wspartymi na arkadach. W budynkach tych, stanowiących własność sułtana, nadzwyczajną łaskawość samego gospodarza wyznaczyła gościom kwatery na cały czas ich pobytu.

Pochodzenie miasta Fez, które Mauroowie zwykli Faz wymawiać, pokryte jest, co zresztą ma miejsce w wielu sławnymi miastami, mistyczną mgłą wieków, którą jeno zrzadka rozjaśniają bajeczne podania poetyckie starych kronikarzy. Jak oni powiadają, węgielny kamień miasta założył w r. 808-ym ery chrześcijańskiej, Ben-Edris, syn wielkiego świętego proroka Muleja-Edrisa, wygnanego z ojczy-

zny i przybyłego do owej ziemi Magheb. Miało to miejsce, niestety, w bagnistej dolinie koryta rzeki Sebu, do której w odległości półgodziny drogi na południo-zachód od miasta wpada Ued el Fez.

Wszystkie pokolenia mieszkańców owego grodu w przeciagu jedenastu wieków drogo to opłaciły i gorzko odpokutowały, że synowi proroka spodobało się dla założenia miasta to właśnie obrać miejsce. Wilgotny grunt nabawia ich bolesnego reumatyzmu i wielu innych rozmaitych chorób. Mieszkańcy stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, po stwierdzeniu tego faktu, byliby niewątpliwie całe miasto poprostu *mowed*, t. j. wpakowali je na koła oraz wałki, i przetoczyli na suchy i zdrowy grunt. Ale pobożnych Marokańczyków nie pobudzić nie może do porzucenia starego Fezu i miejscowości, w której rozłożyło się miasto. Wolą proroka było, ażeby zostało zbudowane tu, w rzecznej, bagnistej dolinie, a prorok mógł postanowić to tylko, co jest sprawiedliwym, dobrem i zgodnym z wolą Allaha.

Kiedy ilość ludności, Fez zamieszkującej, poczęła w średnich wiekach w latach rozkwitu Marokka rosnać coraz bardziej, jęło się rozrastać i samo miasto — i to najznacznie ku zachodowi. Budynki miejskie pokryły część stoków, oraz wyniosłość, położoną o 250 stóp wyżej od starego miasta.

Z północo-zachodu przepływa środkiem Fezu rzeka Ued-el-Fez, poczem sztucznie w biegu wstrzymana, i na rozmaite podzielona ramiona, toczy się ku dołowi w silnym spadku. Powstaje ztąd obfitość wody, co do czego Fez tylko z Rzymem współubiegać się może. Zasilana jeszcze wpadającym do niej od południa potokiem, rzeka wypełnia niezliczone studnie publiczne i uliczne kanały miejskie, dalej cysterny, znajdujące się w dziedzińcach domów oraz meczetów, wreszcie kanały sultańskich ogrodów i pola. Ale główne jej ramie, po za na pół rozwalonym południowym murem miasta, tworzy wspaniałe kaskady, spadając wśród gęstwi figowego gaju, w przepaść po złomach skalnych i zwalonych murów, które nigdy nie będą uprzątnięte, — by następnie, w obramowaniu przepysznych ogrodów figowych, przelać swoje wody w Sebu.

Ponieważ Fez założony został przez syna wielkiego świętego, przeto dla tego samego stał się naturalnie świętym miastem dla całego Islamu. Zajmuje on niemal stanowisko Mekki zachodu dla całego mahometańskiego świata. W epoce Średnich wieków i Odrodzenia szczył się również sławą, jako wspaniałe siedlisko wszystkich mahometańskich sztuk i umiejętności. Uniwersytet Fezu, jego szkoły, bogato zaopatrzone biblioteki, wspaniałe budowle, meczety, pałace, jeszcze w XVI-ym wieku były z zachwytem sławione przez arabskich uczonych i wyrobiły temu miastu zaszczytny przydomek „Aten afrykańskich.“ Ale wszystka ta wspaniałość w proch się rozpadła. Ilość mieszkańców, która niegdyś dosięgała czterech set tysięcy, dziś wynosi zaledwie sto tysięcy. Pałace i mury legły w gruzy, a co tu raz upadło, nigdy już nie bywa restaurowane i na nowo dźwignane. Pozostaje w ruinie tak, jak i gdzie się rozpadło. Ilość owych zwalisk bywa jeszcze zawsze pomnażaną z początkiem panowania nowego władcy, ponieważ każdy z nich uważa za święty obowiązek swojego majestatu względem samego siebie rezydować tylko w swoim własnym dźwigniętym przez siebie pałacu; pozwala się natomiast rozpaść pałacowi swego poprzednika.

To samo również ma miejsce z innymi publicznymi budynkami, może tylko z wyjątkiem sławnych meczetów, których nigdy oko chrześcijanina nie ogląda. Przecie nawet największa chwała tego miasta, cała sieć wodociagowych urządzeń, akwedukty jego i cy-

sterny oddane zostały na pastwę zupełnego zaniedbania i zniszczenia. Pozwala im się zaśmiecić, zabagnieć, zatkać i zmarnować; potoki wody same znajdują sobie przygodną drogę, tocząc się ulicami ku dolinie.

Za dawnych czasów miasto musiało być bardzo silnie obwarowane i trudne do zdobycia. Mur zewnętrzny wznosi się do wysokości czterdziestu stóp, wewnętrzny dwudziestu pięciu stóp dosięga. Krzepkie czworoboczne wieżycy warowne występują z zewnętrznej tego muru powierzchni w prawidłowo powtarzających się odstępach. Położony na południo-wschodzie pagórek, porastający na zboczach oliwnym gajem oraz wyniosłość, znajdująca się na północo-zachodzie przed miastem, dźwigają każde na swej powierzchni po starym, warownym kasztelu. Oba były może dźwignięte przez dawnych sułtanów, zarówno dla zupełnego opanowania stolicy, jak i dla jej obrony przeciw napadom nieprzyjaciela i są zbudowane z olbrzymich ciosów, podczas, gdy materiał murów otaczających miasto i seraj, składa się z pewnego rodzaju cegły, otrzymanej ze zmieszania wapna, żwiru i gliny, które po obiciu i wyschnięciu, składają się na masę o wytrzymałości i sile kamienia.

Warownie te są dziś zgoła nieuzbrojone i pozbawione załogi. Pomimo krzepkości materiału, z którego mur miejski zbudowano, wszędzie występują na nim szerokie rysy, dające mu taki pozór, jak gdyby miał pewnej nocy rozpaść się w gruzy, co już zresztą nastąpiło w licznych miejscach, i to na dłuższych przestrzeniach.

Ten ogólny upadek, ów „zwaliskowy,“ że tak powiemy, charakter zgoła nie przeszkadza, natomiast przyja nawet znakomicie temu, że owa Mekka Zachodu jest jednym z najbardziej malowniczych miast Islamu. Krajobrazowy przepych najbliższych jego okolic przypomina liczne miasta Europy, sławne z piękności swego położenia. Prawie lasom podobne ogrody, o bujnej, wspaniałej roślinności, przecięte mnogimi ramionami rzeki, w silnym spadku szybko swe wody niosącej, pokrywają szeroki grzbiet wzgórza, położonego pomiędzy Nowym i Starym Fezem, zwłaszcza na południe od głównej ulicy i jeszcze głębiej zapełniają wschodnie parowy, podczas, gdy na północy potężna wyniosłość Dżebel-Salaru dźwiga ku górze skaliste skronie, uwieńczone starym kasztelom i białymi cmentarnymi grobowcami.

(Dokończenie nastąpi).



Kronika działalności kobiecej



— Szkoła gospodarska w Narwiliszkach.

W Kronice naszej wspominaliśmy na początku roku bieżącego, o zamiarze p. Korwin-Piotrowskiej założenia szkoły gospodarstwa wiejskiego i domowego w Narwiliszkach w powiecie Oszmiańskim, gub. Wileńskiej, w majątności przez ministerium dóbr państwa oddanej w tym celu p. Piotrowskiej na własność.

Obecnie możemy donieść, iż p. Korwin-Piotrowska z wielkim nakładem pracy i własnych funduszy powzięty zamiar szczęśliwie doprowadziła do skutku, i że szkoła od kilku miesięcy jest już czynna, dając odpowiednie wykształcenie praktyczne około 150-ciu dziewczętom z wiosek okolicznych i drobnych osad szlachty zagonowej, która też w uznaniu zasług energicznej założycielki tłumnie posyła swoje córki do uczelni narwiliskiej.

Zapisy kandydatek szkoła przyjmuje o każdej porze. Zapisywać się tylko mogą dziew-

Kroniczka.



częta od 16-go roku życia. Kurs trwa rok; opłata roczna wynosi rubli 150. Oprócz przedmiotów czysto gospodarczych, w szkole wykładane są: krój, szycie, haft i rysunek.

Dla osób interesujących się szkołą podaje jej adres: Narwiliszki, poczta Żemlesław.

— Kobiety na stanowiskach budowniczych.

W r. b. otwarto w Petersburgu nowe kursy budowlane, obliczone na 100 osób; do chwili obecnej podano około 60-ciu prośb o przyjęcie.

Kobiety, które ukończą kursy, otrzymają prawo dokonywania robót budowlanych.

Po zdaniu określonych egzaminów, słuchaczki, które wykonają wszystkie zadane im roboty, otrzymają świadectwa z ukończenia kursu.

Kurs nauk jest 4-o letni i składa się z zajęć praktycznych i nauk teoretycznych.

Prawo wstępu na kursy daje ukończenie średniego zakładu naukowego.

— Anglia. Lipcowy zeszyt miesięcznika „Women's Trade Union-Review“ podaje następujące sprawozdanie z działalności kobiet na polu inspekcji przemysłowo-handlowej i sanitarnej: w Londynie znajduje się 26 inspektorek sanitarnych, po za Londynem, w innych miastach liczba ich wynosi 58. W wydziale inspekcyjnym, handlowym, pracuje w Anglii i w Księstwie Walii 89 urzędniczek, 19 zaś zajmuje się specjalnie księgami i dokumentami handlowymi.

W Irlandyi, w Dublinie, są 3 inspektorki handlowe z wyboru; miasto Liverpool wybrało na to stanowisko kobiet 8, co znaczną stanowi przewagę w stosunku do mężczyzn, zajmujących toż samo stanowisko, albowiem tych jest tylko 3-ch. W ogóle praca kobiet na polu inspekcyjnym jest w Anglii bardzo uznawana i ceniona, pracownice wielu fabryk domagają się naznaczenia większej liczby inspektorek czynnych dotychczas, nie są w możności zapewnić opieki około dwóm milionom robotnic.

— Szwajcarya. Szwajcarska szkoła pielęgniarek w Zurychu przedstawiła publiczne sprawozdanie z działalności swej w roku ubiegłym i aczkolwiek liczba uczennic nie jest imponująco wielką, przez wyniki jednak z niedługiego jeszcze okresu swego istnienia i przez dobór kierujących, szkoła zasłużyła sobie na ogólne uznanie.

W roku 1904-ym uczennic było 35, a mianowicie: 12 pielęgniarek zwykłych, 12 specjalnych dla położnic, 3 specjalnych dla dzieci, 8 słuchaczek kursów akuszeryjnych i chorób dziecięcych. Z liczby uczennic, zapisanych przy otwarciu zakładu (przed dwoma laty), 13 dyplomowanych zajętych jest w klinikach uniwersyteckich, prywatnych i przy chorych w domach prywatnych.

Przy końcu roku uczennice przy zajęciach praktycznych podzielone były, jak następuje: w szpitalu kantonowym w Zurychu—15 uczennic, pod kierunkiem miejscowych lekarzy i 2-ch starszych siostr; w kantonowym szpitalu w Winterthur, w oddziale dla chorób zakaźnych, 3 starsze uczennice pod kierunkiem lekarza i jednej starszej siostry;—w szpitalu dla kobiet—26 uczennic pod kierunkiem lekarzy i 6-ciu starszych siostr.

Z. S.

— Ag. tel. ros. donosi, że jedną z pierwszych reform będzie wolność prasy. Komissya Kobek wnioski swe w tym przedmiocie przedstawi we Wrześniu.

— Ks. rektor J. Gralewski po powrocie swym z Petersburga i odbytej audyencji u ministra oświaty Głazowa, przywiózł opinie ministra w sprawie szkolnej w ogóle, a projektowanaj szkoły średniej ogólno-kształcącej na wsi, jaką zamierza utworzyć w Prusisku, w gub. Piotrkowskiej, w szczególności.

Ze słów ministra wynika, co następuje:

1) że we wszystkich szkołach już istniejących mogą być prowadzone po polsku wykłady wszystkich przedmiotów, oprócz historycznych i fizyko-matematycznych;

2) że osoby, pragnące zakładać nowe szkoły z językiem wykładowym polskim, powinny obecnie, dopóki nowa ogólna ustawa o szkołach prywatnych nie będzie zatwierdzona, składać podania do p. kuratora warszawskiego okręgu naukowego o szkołę trzy-klasową, a jednocześnie występować z drugimi podaniami do p. ministra oświaty i w tem drugim podaniu prosić o pozwolenie na otwarcie klas wyższych tejże samej szkoły, oraz o wyjednanie Najwyższego zezwolenia na zaprowadzenie w nich już teraz wykładów w języku polskim wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem języka rosyjskiego, historii i geografii Rosyi; prócz tego o rozciągnięcie tej formy wykładów także na pierwsze trzy klasy szkoły;

3) że jakkolwiek nie jest dotychczas ustalona opinia, czy wspomniane w Uchwale Komitetu ministrów wykłady po rosyjsku historii i geografii dotyczą tylko historii Rosyi i geografii Rosyi, czy też historii i geografii w ogóle, jednakże możliwe jest, iż Rada Państwa przychyli się do tego ustępu uchwały Komitetu ministrów, która uważa, że tylko geografia i historia Rosyi mają być przedmiotami obowiązującymi i wykładanymi po rosyjsku;

4) że w podaniach o prywatne szkoły pełne męzkie może być zamieszczona prośba, aby egzaminy dojrzałości dokonywane przez nauczycieli szkoły w obecności delegata władzy naukowej, dawały uczniom prawa rządowe ze wstępem do wyższych zakładów naukowych (na zasadzie art. 3738 t. XI cz. I-ej „Zbioru praw“ z r. 1893-go), prawo takie mają już szkoły w guberniach Nadbałtyckich i mogą je również otrzymać szkoły w Królestwie.

— Kursy wieczorne dla dorosłych rzemieślników mają powstać w Plocku staraniem Towarzystwa drobnego kredytu. Wykłady proponowane obejmują nauki przyrodzone, fizykę i chemię w zastosowaniu do rzemiosł.

— Rada Zarządzająca kolei Warszawsko-Wiedeńskiej otrzymała z Petersburga zawiadomienie z ministerium komunikacji, według którego ma być w Warszawie utworzona specjalna komissya dla ostatecznego rozważenia sprawy używania języka polskiego na kolei. W skład komisyi wejdą delegaci ministerium, członkowie rady ministerialnej, inspektor eksploatacji kolei skarbowych, członkowie rady zarządzającej kolei Warszawsko-Wiedeńskiej z dyrektorem, radcą i naczelnikami wydziałów. Komissya rozpocznie czynności swe niebawem.

— Grono mieszkańców m. Warszawy, złożone z 7-iu osób, wystąpiło do ober-policmajstra z prośbą o pozwolenie na zorganizowanie wiecu ojców. W liczbie petentów znajdują się: p. Marceł Nowakowski, starszy zgromadzenia krawców, pp. Jerzy Szyffer, Stanisław Ossowski, Henryk Puławski, Antoni Lipka, Jakób Bok i Michał Leszczyński. Pozwolenie już otrzymano, wobec czego termin wiecu jest zamierzony na dzień 10-ty b. m.

— Panna Antonina Natansonówna, córka nieżyjących Jakóba, znanego chemika i b. profesora chemii w b. Szko-

le Głównej warszawskiej, i Maryi z Natansonów, ze sfer przemysłowców znanych i wybitnych naszego miasta, z okazji zaślubin swoich z p. Stefanem Dzewulskim, adwokatem przysięgłym, wydawcą „Ekonomisty“, poczyniła znaczne zapisy na rzecz wielu instytucji. Między innymi: Kassa im. Mianowskiego zyskała fundusz 30,000 rubli na legat wieczysty imienia ś. p. Eugeniusza Dzewulskiego na zapomogi dla osób pracujących w dziale nauk matematycznych, fizycznych i technicznych. Kolonie Letnie otrzymały 10,000 rubli.

— Ministerium komunikacji zezwoliło na otwarcie w Odessie kursów pocztowo-telegraficznych dla kobiet. Po ukończeniu kursów stoją otworem posady rządowe dla kandydatek.

— W dniu 7-ym z. m. nastąpił w Krakowie uroczysty fakt zdania zamku Wawelskiego przez władze wojskowe delegatom wydziału krajowego. Przez lat 25 trwały starania o uzyskanie zamku i dopiero w ostatnim dziesiątku po dokonaniu restauracji przez kardynała Puzynę, sprawa zaczęła przybierać widoki powodzenia. Staraniem kraju wzniesiono koszary dla wojska kosztem 2,600,000 koron przy ulicy Długiej, a w zamian uzyskano zwrot murów oszpeconych i zrujnowanych. Zamek wawelski od wieku XVI-go rozliczne przechodził koleje, do stanu dawnej świetności nie prędko wszakże powróci. Początki Wawelu sięgają czasów przedhistorycznych, wiążąc się z podaniami o Krakusie i Wandzie. Obecna uroczystość przeszła w ciszy i skupieniu, nie manifestując uczuć rozradowania.

— W Krakowie w początkach bieżącego miesiąca zamierzony jest zjazd kobiet polskich. Trwać on będzie trzy dni. Pierwszy poświęcony będzie omówieniu chwili obecnej i najbliższych zadań kobiety na czterech głównych polach działania, drugi dzień rozprawom i dyskusjom nad tematami, trzeci postawieniom wniosków, powzięciom postanowień i zobowiązań, któreby luźną i rozproszoną działalność kobiet naszych zjednoczyły w zorganizowanej pracy obywatelskiej, dążącej ku odrodzeniu i wyzwoleniu. Wyodrębniono cztery główne sekcje, mające rozpatrzyć przyszłe drogi i prace kobiece. Sekcja I-sza: praw politycznych, II-ga: wyzwolenia ekonomicznego i ochrony macierzyństwa, 3-cia, wychowawcza i ochrony dzieci, 4-ta: obyczajowa i ochrony kobiet. Referentki zechcą zgłoszenia do współdziałania nadsyłać do redakcyi „Nowego Słowa.“

Treść numeru:

Mówić a mówić... przez M. R.-S. — Joan. VIII, 1—12 przez Maryę Rodziewiczównę (dokończenie). — Głosy orłowe (wiersz), przez Mileśa. — Ś. p. Seweryna Duchinińska (z portretem). — Zawsze czegoś brakuje, przez Jadwigę z Z. Strokową. — Instynkt nauczania, podług D. E. Philipsa, opracowała Anna Grudzińska (dokończenie). — Ogień, nowella, przez Maryę Kunklową (ciąg dalszy). — Wiktor Ottmann: Usłużne duchy. — Marokko (ciąg dalszy). — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się początek nowelli Anatola France'a p. t. „Spiewak z Kymej.“

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 21). — Przepisy kuchenne.

W Karlsbadzie ^{ordynuje} jak dawniej
Dr. Michał Śliwiński
Mühlbrunnstrasse „König von Preussen“



OGŁOSZENIA.

Szkoła Artystyczna dla Kobiet „A. CONTI“

ulica Wielka №. 23 (róg Wspólnej).

Kierownicy artyści: Rysunki i Malarstwo—A. Austen i E. Grajner; Rzeźba—M. Gerson—Dąbrowska i Wł. de Turquier; Sztuka stosowana—L. Łempicka, B. Maruszewski i A. Porczyński; Rys. techniczne—A. Porczyński; Rys. wieczorne—L. Łempicka i B. Wiśniewski; Kurs dla dzieci (chłopców i dziewczynek)—M. Gerson—Dąbrowska i L. Łempicka. Zapisy od 1-go, a lekcje od 15-go Września od g. 10—2 i og 5—7. Programy na żądanie.

ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI

ANTONINY WALICKIEJ

44 KRUCZA 44.

Zapis uczennic codziennie od 11-ej do 1-ej i od 4-ej do 5-ej. Egzaminy wstępne i przejściowe od 5-go września.

Szkoła Rękodzielnicza Cechowa dla Kobiet
K. MACZYŃSKIEJ-METHAL

Mazowiecka 11, obecnie Śto-Krzyżka 31.
Przyjmuje pensyonarki, przychodnie, na różne rzemiosła; kwalifikuje na nauczycielki robót. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa cechowe. Zapis od 22 Sierpnia.

W 6-cio klasowym Zakładzie Naukowym Żeńskim
MARJI MATUSZEWSKIEJ

przy ulicy Leszno № 28, w Warszawie
Zapis uczennic odbywa się codziennie od 2—4. Egzaminów wstępnych od 4-go Września. Rok szkolny 5-go Września.

**Źródłem siły
dla wszystkich osłabionych,**

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

SANATOGEN BAUERA

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem.
Wystrzegaj się bezwartościowych naśladownictw.
Brozury na żądanie wysła bezpłatnie S. Karczewski,
ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.



SUDORYN AP. KOWALSKIEGO, APTEKARZA
w WARSZAWIE, GRANICZNA 10, **POTU**
USUWA ŚWIETNIE PÓT, ODPARZENIE, WON
BLASZANKI Z SITKIEM PO 30 i 50 kop. ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.
STRZEŻ SIĘ NAŚLADOWNICTW W BLASZCE I TEKSTURZE.

Towarzystwo Akcyjne

„Gazety Polskiej”

z kapitałem 250,000 rubli (1000 akcji po 250 rubli).

W dniu 9 czerwca r. b. uzyskała zatwierdzenie Najwyższe ustawa Towarzystwa Akcyjnego „Gazety Polskiej” pod nazwą:

TOWARZYSTWO AKCYJNE

zakładów i wydawnictw

„GAZETY POLSKIEJ”

w Warszawie,

z kapitałem 250,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcji, każda po 250 rubli.

Założycielem Towarzystwa jest obecny redaktor i wydawca „Gazety Polskiej”, Jan Gadomski.

Według § 1 Ustawy. Towarzystwo, obok innych praw, jakie mu przysługują, ma prawo posiadać i wydawać wszelkiego rodzaju wydawnictwa, a w pierwszym rzędzie te, które są dziś własnością Jana Gadomskiego, t. j. „Gazetę Polską” i „Bibliotekę Dziel Wyborowych”. Dla nabycia też i prowadzenia tych wydawnictw, łącznie z drukarnią, a względnie dla prowadzenia innych wydawnictw, dla nabycia dla swoich zakładów osobnego domu i t. p. zakłada się to Towarzystwo Akcyjne „Gazety Polskiej”.

Nasze Towarzystwo Akcyjne dla wydawania pisma codziennego jest pierwszym tego rodzaju w Państwie.

Zapisy na akcje Towarzystwa Akcyjnego zakł. i wyd. „GAZETY POLSKIEJ”, przyjmuje założyciel Towarzystwa, Jan Gadomski, w lokalu Redakcji „GAZETY POLSKIEJ” w Warszawie przy ul. Wareckiej 14.

Zapisy mogą być nadsyłane pocztą.

Ustawę każdy otrzymać może na żądanie.

Założyciel Towarzystwa Akcyjnego zakładów i wydawnictw „Gazety Polskiej” w Warszawie

Jan Gadomski.

Wydawca: *Piotr Laskauer*. — Redaktor: *Maryan Gawalewicz*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Августа 1905 г.

APTEKA Ap. KOWALSKIEGO,
wynałazcy „Sudorynu” od potu i „Klawioliu” na odciski, w Warszawie, Graniczna 10, wyrabia podług przepisów, razem z apteką nabytych od Wł. Russyana, od lat 25-ciu znane:

Pastyłki od zgagi, natychmiastowo usuwające zżogę i odbijanie się, zwłaszcza u nadużywających trunków, nadmiar kwasów żołądkowych, kwaśny smak w ustach, wzdęcie i ból żołądka, oraz ułatwiające trawienie. Pudło 40 kop. Wyrabiają się bez domieszki szkodliwych dla trawienia klejów, lecz przez samo sprasowanie w krążki chemicznie czystej sody (dwuwęglanu) z pepsyną.

Granulki od kaszlu, chrypki i astmy po 60 i 85 kop. za blaszankę. Robią się bez domieszki szkodliwych dla żołądka klejów.

Brasikon od bólu głowy i zębów, oraz migreny po 40, 80, 150 i 250 k. za flakon.

Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach. Prawdziwe skuteczne i bez kleju, mają na opakowaniu 3-kolorowy podpis wynałazcy Wł. Russyana i firmę apteki Ap. Kowalskiego. 40 k. za opak. i przesyłkę leków na sumę 60 k. do 3 rb.

Zakład Naukowy Żeński
z kl. wstępną i pensjonatem

Zofii z Wróblewskich Kurmanowej
na wzór

NORTH LONDON COLLEGIATE SCHOOL

KRUCZA 42.

Zapis codziennie od 5—6. Egzaminów od 2 Września.

KURSY WYŻSZE DLA KOBIET
im. A. BARANIECKIEGO

istniejące od roku 1868.

Początek roku (po raz 1^{go} a nie 15^{go} października.

Prospekty (za zwrotem tylko porta) przesyła Księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie. — Korespondencje załatwia sekretarka kursów: Kraków, ulica Karmelicka 36.

Dyrektor: *Józef Rostafiński*.

1) 3-klasowa szkoła prywatna
(bez praw)

Do niższych klas przyjmowani są uczniowie od lat 7.

2) Szkoła niedzielno-handlowa,

w której są wydawane: Religja, języki: polski, rosyjski, niemiecki, arytmetyka zwyczajna i handlowa, geografia zwyczajna i handlowa, buchalterja, korespondencja handlowa w trzech językach, prawo handlowe i kaligrafja.

3) Kursy wieczorowe dla mężczyzn,

w których są wykładane: Religja, język polski, język rosyjski, arytmetyka, geografia, historia, nauki przyrodnicze, kaligrafja, rysunki i kreślenie. Dla osób pracujących po fabrykach i warsztatach znaczne ustępstwa w opłacie.

Chmielne № 13.

Przełożony Szkoły **ROCH KOWALSKI**.

MAGAZYN

UBIORÓW DZIECINNYCH

oraz Umundurowania dla Uczniów

Poleca

S. PRZEZDZIECKI

5. Mazowiecka 5.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie

LEOKADYI MAX

Warszawa, Marszałkowska № 113

(Zielna № 8) parter.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

MARJI NOWORYTO

Warszawa, Marszałkowska 94.

Poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

**ZNANA, SZKOŁA KROJU
i SZYCIA
TCHORZEWSKIEJ**

Chmielna № 32, mieszkania № 3.

Kursy na patent cechowy i prywatne.
Dla przyjezdnych całkowite utrzymanie.

Szkoła artystyczna

W. TROJANOWSKIEGO

dla mężczyzn, kobiet i dzieci

Kapucyńska 17.

Kursy dzienne, wieczorne, niedzielne. **Historja sztuki, style, sztuka chrześcijańska**, dla uczniów wszelkich szkół udogodnienia.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Swiat 41.

(Dok. opisów do Nr. 35).

№ 6. Zreformowana suknia z krótkim kaftanikiem.

Kremowa materya w granatową i niebieską kratę, użyta na kamizelkę i wązkie półrękawki, ożywia suknię z granatowego, welnianego materyału, przybraną aksamitem w tym samym tonie, taśmą i złożonymi guzikami. Dwukrotne naszyte taśmą w dole sukni, przerywają w 15 centymetrowych odstępach patki z materyału, przytrzymane złotymi guziczkami. Krótki kaftanik, obcisły na plecach, ściągnięty z przodu w fałdki przytrzymują patki. Wyłożony kołnierz i wązka kamizelkę z aksamitu, jak również małe przy rękę mankieciki ozdabia haft. Krótkie buty, zakończą dwukrotne naszyte z taśmy i patka. Suknia jak zwykle suknie podobnym krojem, przyszyta do stanika z podszewki.

Potrzeba: 7 mtr. mat. podw. szer., 10 mtr. taśmy 2 ctm. szer., 2½ tuzina większych, 4 małe guziki, 1½ mtr. materyi w kratę, ¾ mtr. aksamitu.

№ 7. Suknia z woalu w deseń.

Środek przodu zmarszczonej w stanie spódnicy i przód bluzki pokrywa uplisowany pas materyi w odpowiednim do deseni kolorze i łączy się w jedną całość. Pas na bluzce, tworzący kamizelkę, przybierają z obu stron falbaneczki z koronki. Szyję otaczają dwie falbanki i ruisze z koroneczki. Krótkie rękawy odpowiednio zakończone. Pasek bawecikowy, na usztywnionej podszewce, z tej samej materyi, co przybranie przodów. Spódnice, wykończoną na oddzielnej podszewce z taffetas, zakończają dwie małe, koliste falbaneczki.

Potrzeba: 10 mtr. woalu, 3½ mtr. taffetas, 9 mtr. koronki 4 ctm. szer., 3 mtr. koron. 2½ ctm. szer.

№ 8. Jesienny paltocik z jasnego sukna.
(Patrz szkic a).

Paltocik z jasnego sukna na jasnej, strojnej podszewce, przybiera wyłożenie z ciemnego aksamitu, na kolisto skrojonych mankiecikach i szalowym kołnierzu. Pelerynkowy kołnierz,

№ 2. Jesienne okrycie i spódnica z kolistą falbaną.
(Patrz ryc. 13).

№ 1. Kostium z welnianego materyału z białą kamizelką.

wykończony bez podszewki zdobi z przodu szereg guziczków i pętelek. Nieco mniejsze guziczki i pętelki, po trzy w odstępach, przybierają przody. Na bokach kieszonki z kłapkami.

Potrzeba: 3½ mtr. jasnego sukna podw. szer., ½ mtr. aksamitnego ukosu, 2½ tuzina guzików, 2½ mtr. jedwanego sznurka, 5 mtr. jedw. podszewki.

№ 9. Wcięty paltocik z ciemnego sukna.
(Patrz szkic b).

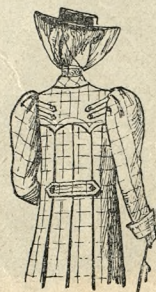
Wcięty paltocik z ciemno granatowego sukna wymaga bardzo dobrej krawieckiej ręki. Oryginalny krój przodów i pleców, zastępuje przybranie. Guziki złożone lub perłowe, kołnierz i mankiety wyłożone aksamitem czarnym, lub w kolorze paltocika, podszewka jedwabna, strojna.

Potrzeba: 3 mtr. sukna podw. szer., 40 ctm. aksamitnego ukosu, 12 guzików, 5 mtr. jedw. podszewki.

№ 10. Kostium wizytowy, przybrany gipiurą.

Kostium z wełny w prążki, lub z materyi jedwabnej armure, w niebieskawo lila, bardzo modnym kolorze, przybierają wstawki gipiurowe, szeroka gipiura przy rękawach i aksamit w tonie sukni. Pomiedzy gipiurowymi wstawkami na spódnicy, ujętemi w ruloniki z aksamitu, bufa namarszczona z chiffon. Bawecikowy stanik, poprzecznie marszczony, zapięty na plecach. Krótkie bufki ujęte w wązki rękawek, sięgający do łokcia.

Potrzeba: 7 mtr. materyału podw. szerok., 3½ mtr. gipiury 12 ctm. szer., 6½ mtr. wstawki 8 ctm. szer., 5 mtr. 6 ctm. szer., 1 mtr. chiffon podw. szer., 5 guzików, 1½ mtr. aksamitu.

Szkic a
do ryc. 3.

№ 11. Suknia zreformowana, strojnie przybrana haftem.

Z tyłu zapięta, oryginalnym krojem, suknię z kremowego kaszmiru, strojnie ozdabia artystyczny haft naśladowujący gałązki stokroci. Rękawy, opasane szyi i szarfą, pod przodem, tworzącym rodzaj stuły, podwlecyona, z crêpe de Chine'y w tym samym co kaszmir tonie. Szarfą związana na plecach, zakończona gretotkami. Dół sukni zakończy szeroki obręb z mereszka. Spód sukni z taffetas, suto garnirowany w dole plisowanymi falbankami, razem z wierzechnią suknią umocowany do stanika z podszewki.

Potrzeba: 5 mtr. kaszmiru podw. szer., 4 mtr. crêpe de Chine'y podw. szer., 2 gretotki.

Wzory ubiorów i robót do Nr. 36.

№ 1. Kostium z welnianego materyału z białą kamizelką.

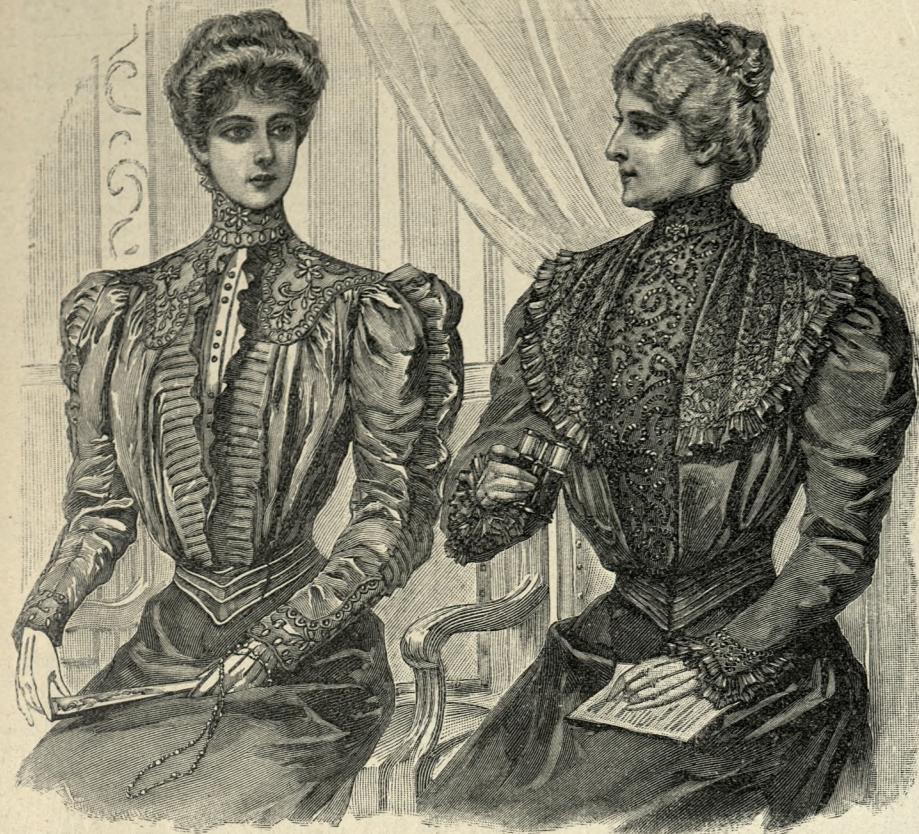
Kostium z granatowego sukna w dość jasnym tonie, składa się z lekko namarszczonej, do ziemi sięgającej spodnicy i z bluzki, zmarszczonej na ramionach, dopełnionej białą sukienką kamizelką i wązkim szalowym kołnierzem, zakończonym ruiszką z taffetas w kolorze kostiumu. Naszyte z ruiszki tworzy na ramionach naramienniki. Kamizelkę wypełnia szmizetka z białego batystu. Odpowiednie do niej mankiety zakończają bufiaste, do łokcia sięgające rękawy. Szeroki pasek, zapięty z przodu na klamrę naszyty grekiem z ruiszki, Dół spódnicy przybierają plisy z materyału i ponad nimi ruiszka naszyta w deseń.

Potrzeba: 6 mtr. sukna podw. szer., 40 ctm. sukna białego, 8 złożonych guzików, 2 mtr. taffetas, ½ mtr. batystu podw. szer., 1 koronkowy motyw na krawatkę.

№ 2. Jesienne okrycie i spódnica z kolistą falbaną.
(Patrz ryc. 13).

Materyał: angielska w szarym tonie przera-biana grubą jasnieszszą nitką, tworzącą klatę. Spódnica (patrz ryc. 13) składa się z wązkich brytów, zakończonych w zęby i z podszytej pod nie kolistej,

№ 3. Długi płaszcz od deszczu albo do podróży.
(Patrz szkic a).



№ 4. Strojna bluzka przybrana haftem

№ 5. Strojna bluzka dla osoby starszej. (Patrz szkic b). (Krój pier. str. tabl. Fig. 64-77).



№ 6. Kostium z wysokim, aksamitnym, gorsecikowym paskiem. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 1-8).

№ 7. Kostium jesienny z falbankami i odrębnym pelerynkowym kołnierzem. (Krój kołnierza pierw. str. tabl. Fig. 40).

na podszewce wykończonej falbankami. Paltot na jedwabnej szarej podszewce, wszystkie w górze w nisko schodzący, zębata karczka od którego wyłogi jak i wykładany, aksamitem wyszty kołnier, wykończony po męzku. Mankiety odpowiednie. Guziki duże perłowe.

Potrzeba: 7 mtr. grubej welny podw. szer., 5 mtr. materji jedwabnej, 60 ctm. ukosu aksamitnego, 8 guzików.

№ 3. Długi płaszcz od deszczu albo do podróży. (Patrz szkic a).

Okręcić z angielskiego materiału double face, w modnym kolorze, wyszty w niski, zębata wykrasany karczka, zapięta na 2 rzędy perłowych, lub rogowych guzików, złożone z przodu i z tyłu w płaskie, zastębnowane faldy. Faldy na plecach przytrzymuje patka, (patrz szkic a). Wykładany kołnier i klapki wykończone po męzku. Na karczku naszyte wązkie patki, przytrzymane guzickami. Rękaw umiarkowanie szeroki, zakończy nieco odstający mankiety. Przody opatrzone kieszonkami, wsuniętemi pod faldę.

Potrzeba: 4 mtr. materiału podw. szer. 1/2 tuzina większych, 1 tuzin małych guzików.

№ 5. Strojna bluzka przybrana haftem.

Bluzkę z taffetas w dowolnie wybranym, modnym kolorze, przybierają: mankiety, kołnier i stojący kołnierzyk, pokryte pięknym ażurowym haftem i odsztyte na białej materji. Kamizelka z teje materji, zapięta na drobne, złożone guziczki, wypełnia rozchyłony marszczony przód, zastębnowany brzegiem w drobne zakładeczki. Rękawy poprzecznie zmarszczone, zastębnowane środkiem w zakładeczki, odpowiednie do zakładzek zastębnowanych przy przodach. Pasek przybrany białymi wypustkami.

Potrzeba: 4 1/2 mtr. taffetas, 1 1/2 mtr. białej materji, 1 tuzin guzików.

№ 5. Strojna bluzka dla osoby starszej. (Patrz szkic b). (Krój pierw. str. tabl. Fig. 64-77).

Bluzkę z czarnej materji armure, ożywia wstawiony przód z tiulu, naszytego palletkami, na podłożeniu z chiffon. Na takież podłożeniu wykończony jest chusteczkowy kołnier z gipiury, oszty plisowaną falbaneczką z chiffon. Bluzka sporządzona na doskonale dopasowanej podszewce, w stanie ujęta w pasek złożony z ukośnych plisek z materiału. Pasek przechodzi na plecy frakowo zakończone, (patrz szkic b). Rękaw umiarkowanie szeroki, zdobią motywy z tiulu, naszytego palletkami i plisowane falbaneczki z chiffon.

№ 6. Kostium z wysokim, aksamitnym, gorsecikowym paskiem. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 1-8).

Materiał: szare sukno soileil. Przybranie: kołnier szalowy i gorsecikowy pasek z czarnego aksamitu. Kołnier pokrywa haft maszynowy. Bluzka na dobrze dopasowanej podszewce, lekko namarszczona. Szalowy kołnier obejmuje skromną białą szmizetkę z batystu. Plisy

stębnowane, w ząb ułożone, z materiału, z którego buki rękawów, rękawy przy kratę, pasek w górze, tworząc przez to tunikę.

№ 7. Kostium jesienny z falbankami i odrębnym pelerynkowym kołnierzem. (Krój kołnierza pierw. str. tabl. 40).

Do kostiumu w kratkę, w modnym kolorze, bardzo ładnie wygląda kołnierzyk w kolorze odpowiednim do jednej z krat, podszyty jedwabną materją i kryty zapięty na zatraski i ozdobiony pięknie guzickami.

Spódnica do kostiumu, o wązkim przodzie, naszyta w dole drobnymi, kolistymi falbankami nacięte i przedłużone z przodów, wypełniona delikatną materją. Rękawy wązkie. Całość bogato opatrzone w kolorze materiału, o ton ciemniejszy.

№ 8. Kostium jesienny spacerowy, z mat. w kratkę. Kostium z covert coatu w kratkę, w modnym, szarozielonawym odcieniu, składa się z równej długości spódnicy,



№ 8. Kostium jesienny spacerowy, z materiału w kratkę.

№ 9. Kostium jesienny dla dziewczynki od 10 lat.

ułożonej w szerokie kontrafaldy, zastębnowane od góry na wysokość bioder i z krótkiego, na plecach bokach zupełnie wciętego paltocika, kryty zapiętego na jedwabnej, strojnej podszewce. Wszystkie wykończone staranna stębnówką jedwabiem, w tonie tejże kratki. Paltocik ożywia biały sukienki kołnier i aplikacja z zielonego aksamitu, oszty sutaszem.

Potrzeba: 6 1/2 mtr. covert coatu szer., 15 ctm. białego sukna, 20 ctm. zielonego aksamitu, 1 mtr. sutaszu, 3 1/2 mtr. jedwabnej podszewki.

№ 9. Kostium jesienny dla dziewczynki od 10 lat.

Kolisto skrojona spódniczka i luźny paltocik z jasno szarej, ciepłej welny w białe wązkie, przybierane stębnówką. Paltocik wyszty w karczka, naszyty z przodami. Boki opatrzone kieszonkami. Na kołnierze z białego haftu.

kraty: 4 mtr. mat. podw. szer., 6 guzików, kołnier i mankiety haftowane.

№ 10. Suknia domowa z gładkiej welny, przybrana materją w kratę. (Patrz szkic c).

Pomiędzy faldami spódnicy, zaszytymi do wysokości kolan, wstawione kliny z materiału, naszyte plisami z materji w kratę, szerokiemi 5 ctm. Bluzka ułożona w kontrafaldy rozszty plisami z materji. Faldy bluzki połączone jakby sznurowaniem wązkiemi pliszciami z materiału. Pelerynkowy kołnier, oszty



№ 10. Suknia domowa z gładkiej welny, przybrana materją w kratę.

№ 11. Okrycie dla dziewczynki od 2-4 lat. (Krój pier. str. tabl. Fig. 35-39).

plisą z materji, pokrytą przy brzegach i środkiem plisami z materiału. Przód zapięty z boku na guziki, wycięty w górze, wypełnia papierśnik z haftu na podłożeniu z jasnej materji, odpowiedniej do krat. Kołnierzyk z haftu, pokrywający w części kołnier z materiału i mankiety na podłożeniu z teje materji. Kołnierzyk i mankiety oszty falbaneczkami z koroneczki. Rękaw zakończony przy łokciu odwiniętem mankietem, z pod którego wysuwa się wązki rękawek. Mankiet i rękawek z materji w kratę, naszyte plisami z materiału.

Potrzeba: 6 1/2 mtr. materiału gładkiego podw. szer., 1/2 mtr. materji gładkiej, 2 mtr. materji w kratę, 2 1/2 mtr. koronki 4 ctm. szer., 1 1/2 mtr. haftu 10 ctm. szerokości, 3 guziki.

№ 11. Okrycie dla dziewczynki od 2-4 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 35-39).

Okrycie z białego materiału cotelę przybierają wstążeczki jedwabne w 3 szer. Najwyższa naszyta gładko na mankietskach, średnia, namarszczona, zdobi dół, pelerynka i kołnierzyk, najszersza użyta na kolarde. Okrycie sporządzone na jedwabnej lub półjedwabnej podszewce, zapięte na jeden rząd perłowych guzików. Rękawki zwykłe, szerokie, obcisnięte mankietskami.

№ 12. Pelerynka z pledowego materiału, przybrana odrębnym kołnierzem.

Pelerynkę z ciemno brązowego, pledowego materiału w zielone i brudno ponsowe kraty, ostębnowaną plisą z ciemno zielonego sukna, przybiera potrójny kołnier z tegoż sukna, wsunięty pod mały szalowy kołnier z zielonego aksamitu. Kołnierze z tyłu w ząb zakończone. Peleryna skrojona z dwóch części. Trzeba nader uważnie na to baczyć, aby w szwie

na plecach kraty sahadzty się dokładnie. Zapięcie stanowią 2 piękne mieniące się ciemne guziki perłowe.

Przepisy kuchenne.

Prowancka legumina z szynką. (Proporcya na 6 osób).

Sześć małych trzygroszowych, drożdżowych nie słodkich bułeczek namoczyć w mleku przynajmniej na pół godziny, gdy doskonale nasiąkną, rozetrzeć je w donicy, wlać nieco więcej niż 1/4 funta roztopionego masła, wbić całych 10 jaj, wymieszać doskonale, dodac funt drobno w kosteczkę pokrajanej szynki, posolić do smaku, wymieszać znowu i włożyć do rondla wysmarowanego masłem i wysypanego bułeczką. Wstawić do pieca i piec przynajmniej przez godzinę. Jeśli piec silnie piecze od spodu należy rondel ustawić na cegle, aby żar ze wszystkich stron objął go jednakowo.

Legumina mleczko. (Proporcya na 4 osoby).

Trzy szklanki śmietanki (nie kremowej) wlać do ubitych z cukrem 8-iu żółtek i 2-ch całych jaj, precedzić przez rzadki muslin, dodac wanilii i wlać do formy lekko wysmarowanej młodem masłem. Przykryć szczelnie i wstawić w rodel z zimną wodą. Gotować od chwili zagotowania 3 kwadransy. Cukru do ubicia jaj wziąć mniej więcej 3 łyżki, zależy to od smaku. Mleczko z większej ilości jaj i mleka należy gotować dłużej. Po ugotowaniu wstawić w lod a po wystudzeniu podawać z szodnem z wina lub z syropem karmelowym.

Najpraktyczniejszy i najtrwalszy sposób przyrządzania pomidorów na zimę.

Pomidory dojrzałe oplukać starannie, powykrawać miejsca nadpsute lub zczerniałe i dusić w kamiennem naczyaniu, lub na miednicze od smażenia konfitur (w rondlu tracą kolor) do gęstości rzadkich powideł. Nieprzecierając, razem z pestkami i lupinami wrzuce ponakładac w słoiki, gorące owinąć mocno pęcherzem i gotować na parze godzinę, licząc od zagotowania. Przecieranie pomidorów jest zbyt ciężkie, ponieważ użyte do zup lub sosów zawsze jeszcze raz cedzone bywają, nadto z pestkami i skórkami zachowują więcej zapachu i nie się z nich nie traci. Przetrzeć zawartość jednego słoika, to niewiele, przecierać większą ilość męczy i mniej dokładnie przecieranie bywa dokonane.

Można doskonale obliczyć aby wielkość słoików odpowiadała potrzebnej ilości pomidorów. Jeśli ktoś na zu-



Szkic b do ryc. 5.



Szkic c do ryc. 10.



№ 12. Peleryna z pledowego materiału, przybrana odrębnym kołnierzem.

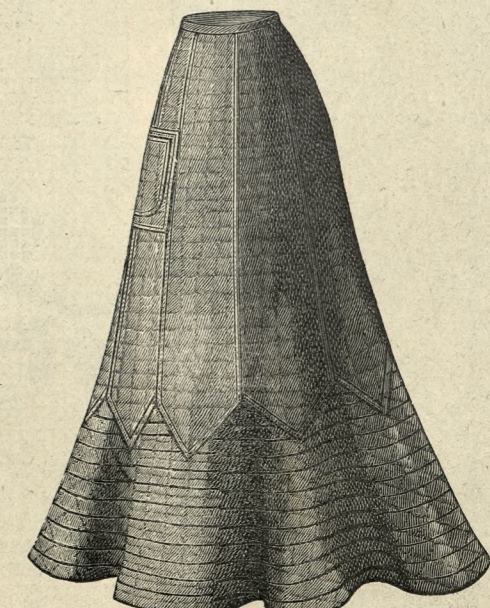
pe potrzebuje pomidorów 10, niechaj tak obliczy aby z 30-u były 3 słoiki.

W powyższy sposób przyrządzone pomidory przechowują się w suchem miejscu doskonale.

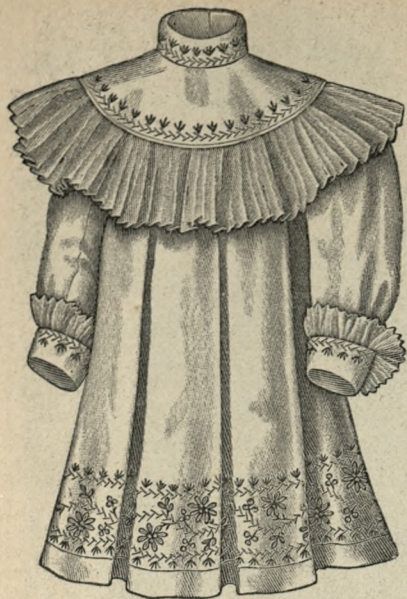
Obiad na Niedzielę.

Zupa rakowa. Karp z kaparowym sosem. Pasztet ze zwierzyny w francuskim cieście. Groszek i szpinak z kotlecikami z móżdżku. Kapłony i perliczki. Sałata, kompoty. Mleczko z szodnem.

Zupa rakowa. Wątróbka cielęca z rumianym sosem z kartofelkami. Kurczęta z kompotem. Mleczko z karmelem.



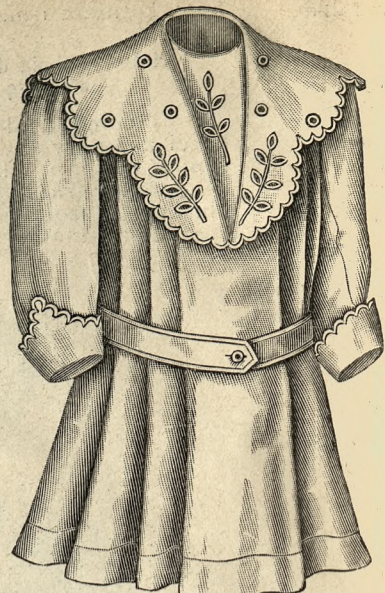
№ 13. Spódnica do kostiumu. (Patrz ryc. 2). (Zmiejsz. forma pierw. str. tabl. Fig. 9-15).



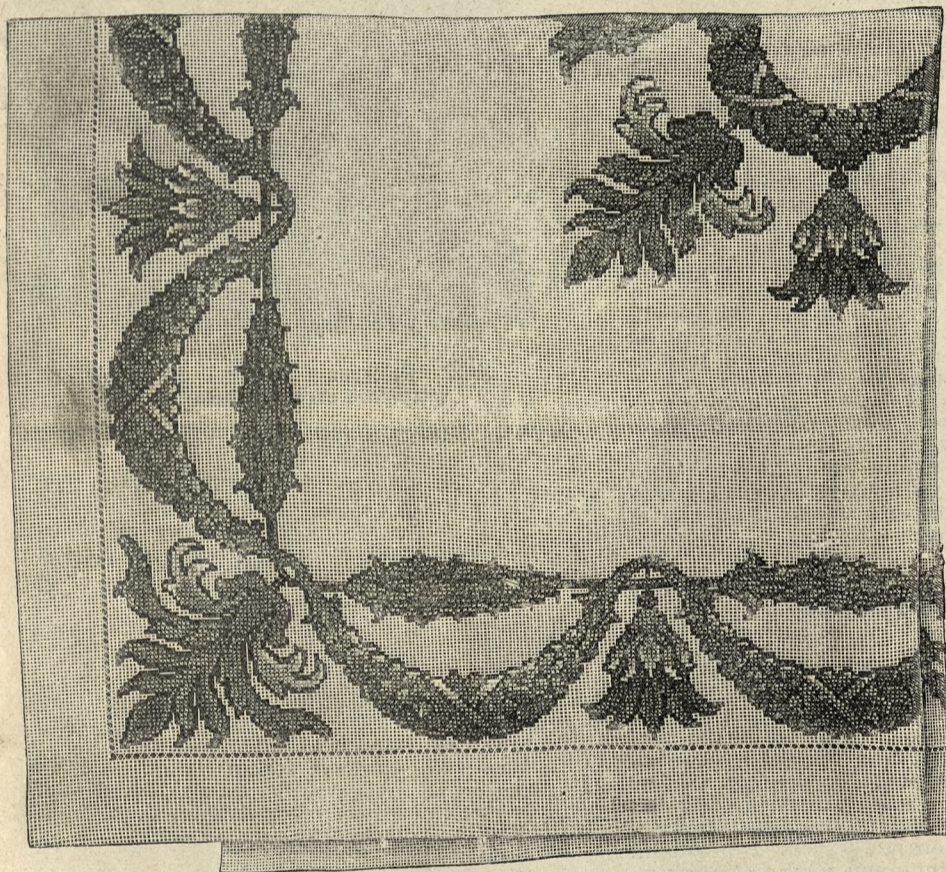
№ 14. Sukienka dla dziecka od 1-3 lat. (Patrz ryc. 20). (Krój pier. str. tabl. Fig. 41-47).



№ 15 i 16. Koszula dzienna z krawatem i koszula nocna. (Krój i wskaz. pierw. str. tabl. Fig. 16-27).



№ 17. Sukienka dla dziecka od 2-4 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 48-55).



№ 18. Serweta z materyalu Aida, zdobna krzyzykowem wyszyciem.



№ 19. Przykrycie na wanne, zdobne haftem i oszyte klockowa koronka.

